



W DOBRYM STYLU

VADEMECUM KATOLICKIEJ ELEGANCJI

**W DOBRYM
STYLU**

W DOBRYM STYLU

VADEMECUM KATOLICKIEJ ELEGANCJI

Instytut Edukacji Społecznej i Religijnej im. Ks. Piotra Skargi

KRAKÓW 2015

© Copyright by Instytut Edukacji Społecznej i Religijnej im. Ks. Piotra Skargi

redakcja

Piotr Doerre, Krystian Kratiuk

korekta

Magdalena Znamirowska-Doerre

projekt okładki

Jarosław Kozikowski

skład i łamanie

Krzysztof Szeremeta

Wydanie I

ISBN 978-83-89591-68-5

Instytut Edukacji Społecznej i Religijnej im. Ks. Piotra Skargi
ul. Augustiańska 28
31-064 Kraków

Redakcja portalu PCh24.pl

Przedmowa

Z radością oddajemy w Twoje ręce antologię *W dobrym stylu. Vademecum katolickiej elegancji* – zbiór najlepszych tekstów portalu PCh24.pl poświęconych kulturze i stylowi życia, dodatkowo wzbogacony o niepublikowane wcześniej w internecie artykuły z magazynu „Polonia Christiana”.

Książka, którą oddajemy w Twoje ręce, podzielona została na dwie części: dedykowaną kobietom i poświęconą zagadnieniom tradycyjnie związanym z męskością. W obliczu zmasowanej ofensywy sił pragnących brutalnego ujednolicenia i zanegowania pięknej różnorodności, którą obdarzył nas Bóg, *W dobrym stylu* będzie dla Ciebie przypomnieniem: każdy i każda z nas ma swoje unikatowe powołanie, które powinniśmy realizować dla Prawdy, Dobra i Piękna. Antologia *W dobrym stylu* jest przeciw Strony Internetu przypominającą nam, że żyć w zgodzie z Ewangelią to także żyć pięknie – dlatego tak ważne jest, aby przykładać wagę do detali. W dobrym stylu można traktować jako coś na kształt podręcznika *savoir-vivre*’u dla katolickich dam i dżentelmenów. Dla wielu będzie także niebanalnym źródłem wiedzy i ciekawostek ze świata.

Co znajdą Panie w poświęconej im części? Nie tylko kluczowe teksty dotyczące formacji przyszłych żon i matek, a także samego macierzyństwa, ale też te zawierające praktyczne porady dotyczące z pozoru błahych spraw, takich jak moda czy kulinaria (tutaj z poradami spieszy sama św. Hildegarda z Bingen!). Błahych tylko z pozoru, bowiem wszystkie, wydawałoby się, drobne codzienne wybory mają wpływ na kształtowanie tego, kim jesteśmy. Jest to szczególnie ważne w dobie upadku obyczajów i braku szacunku dla własnego ciała. Dzisiaj, kiedy lansuje się pogląd, że należy hołdować przede wszystkim ciału – jego wygodzie, instyktom – porady publicystów PCh24.pl są szczególnie cenne: pokazują bowiem alternatyw-

ną drogę, która pozwala na zachowanie osobistej godności, a co za tym idzie - życie zgodne z wiarą i jej nakazami.

Mężczyźni przeczytać mogą między innymi o tym, co niegdyś ich kształtowało, pomagało zbudować tożsamość, a co teraz próbuje im się – wskutek działania wrogich naszej cywilizacji ideologii – odebrać. Być może zdziwisz się, Drogi Czytelniku, że tak często na kartach *W dobrym stylu* napotkasz słowo „kryzys” – nie możemy jednak ukrywać, że mamy z nim do czynienia. Temu zagadnieniu – kryzysowi kobiecości i męskości – poświęcone zostały zresztą dwa niedawno opublikowane numery magazynu „Polonia Christiana”, do których lektury serdecznie zachęcamy. Temu kryzysowi, między innymi za sprawą *W dobrym stylu*, staramy się przeciwdziałać.

Pragniemy więc zaproponować mężczyznom częściową choćby odpowiedź na pytanie, które refrenicznie stawia w swoim tekście Kajetan Rajski: jak żyć? Panowie mogą więc poczytać o etyce w biznesie, o kodeksie honorowym, o dozwolonych formach samoobrony, ale także... o baseballu. Nie brakuje oczywiście tekstów poświęconych ojcostwu i właściwemu doń przygotowaniu.

Mamy świadomość, jak wyglądają zwykle publikacje o podobnym – lifestyle'owym – charakterze. Nie możemy zrezygnować z troski o kształtowanie umysłów także na tym polu. Przyjęło się bowiem uważać, że katolicy nie są zainteresowani kulturą i że w tej materii monopol od dawna już posiada lewica. Niech więc *W dobrym stylu* stanie się dowodem na to, że takie twierdzenia są z gruntu fałszywe.

Chcemy zaprosić Cię do bieżącego odwiedzania portalu PCh24.pl – Prawej Strony Internetu. Ciągłe pracujemy nad rozwojem, rozbudową i ulepszeniem tego serwisu, który od ponad trzech lat każdego dnia dostarcza Czytelnikom świeżych wiadomości i wartościowych opinii o Kościele, Polsce i świecie. Znajdziesz w nim także jeszcze wiele tekstów podobnych do tych, które przeczytasz *W dobrym stylu*. My zaś obiecujemy dołożyć wszelkich starań, aby zagwarantować Ci jak najwięcej lektury – utrzymanej w niezmiennie dobrym stylu.

KOBIETA

Justyna Kinga Stępkowska

Jak zostać wspaniałą żoną i matką?

Na jakich wzorcach wychowywały się dawne pokolenia żon i matek, że w skrytości i pokorze umiały najznakomiciej wypełniać swe powołanie? Czy rzeczywiście obowiązki współczesnej, katolickiej żony i matki są inne lub cięższe, czym można by było tłumaczyć rozliczne braki w ich wypełnianiu? Czy może to duchowe i intelektualne lenistwo sprawia, że młode kobiety odrzucają wzorce, na których winny budować swą kobiecość i rozumienie powołania żony i matki?

Obserwowany na niemal wszystkich polach życia społecznego, gospodarczego i kulturalnego kryzys rodziny związany jest nierozdzielnie z kryzysem kobiecości. Współczesna kobieta – bombardowana rewolucyjnymi ideologiami i coraz częściej im ulegająca, staje się nie tylko istotą poranioną i niezdolną do podjęcia przypisanych jej obowiązków, lecz również stanowi gorszący przykład dla dziewcząt wkraczających w dojrzałe życie. W dobie walki o czystość obyczajów, o poszanowanie przywilejów i obowiązków katolickich kobiet, potrzeba nam powrócić do pięknych wzorców żon i matek, które winny stać się drogowskazem dla młodych dziewcząt, szczególnie tych, które przygotowują się do podjęcia małżeńskich obowiązków.

LIST DLA KOLEJNYCH POKOLEŃ

Niewątpliwym przykładem pełnej cnót żony i matki jest Zofia Zamoyska, żona Stanisława, córka Adama Kazimierza Czartoryskiego – generała ziem podolskich, i księżnej Izabeli z Flemingów. Ta „anielska dusza w ciele pełnym uroku”, jak pisał o ordynatowej Zamoyskiej Stefan Kieniewicz, wyróżniała się nie tylko fizycznym pięknem (uroda Zofii podziwiana była w całej Europie), lecz szczególnie szlachetnością ducha i cnotliwym, pełnym chrześcijańskiej surowości życiem. W domu Zamoyskich pielęgnowane były na wskroś katolickie zasady życia rodzinnego i społecznego. Staranne wychowanie w miłości do Boga, szczerza troska o losy Ojczyzny oraz codzienna praca nad uszlachetnieniem charakteru i wyrobieniem silnej

woli, zajmowały poczesne miejsce w wychowaniu licznego potomstwa Zamoyskich. W dzisiejszej dobie szczególnie warto zwrócić uwagę na surowość obyczajów, której bezwzględnie przestrzegano w domu Zamoyskich.

Niezmiernie cenny w obliczu wyżej przytoczonych faktów jawi się nam ocalały list Zofii z Czartoryskich Zamoyskiej do córki Jadwigi, której otrzymała od matki w dniu zaślubin. Ordynatowa Zamoyska spisała w nim przemyślenia na temat obowiązków przynależnych młodej mężatce oraz szereg cennych rad, które uchronić miały Jadwigę przed błędami, o jakie przecież nietrudno w pierwszych chwilach małżeńskich radości i uniesień. Rady Zofii Zamoyskiej stanowiły najcenniejszy po wierze dar, jaki otrzymać może córka od swych rodziców.

List ordynatowej odczytywany po wielokroć przez Jadwigę Sapieżynę, przekazany został Marii Popiel z Zamoyskich, która następnie najprawdopodobniej podarowała go Jadwidze z Działyńskich Zamoyskiej. Jadwiga z Zamoyskich Sapieżyna w liście do Marii pisała o przekazanych jej przez matkę radach: „są tak piękne, tak użyteczne młodej mężatce, że pragnęłam je tobie udzielić w nadziei, że z nich nieraz zaczerpniesz dobre natchnienie i wskazówki do postępowania”. Widzimy zatem, jak wielką wartość dla kolejnych pokoleń kobiet stanowiły zapiski ordynatowej Zofii. Również w oczach współczesnych kobiet, treść listu Zofii z Czartoryskich Zamoyskiej winna mieć wartość nieprzemijającą.

BÓG PRZED WSZYSTKIM

Zbiór rad prawdziwie katolickiej matki otwiera ta najważniejsza. Zamoyska pisze: „przede wszystkim będę ci mówiła o Bogu! Bądź zawsze wierną Jego prawu, bądź pobożną. Zbawiciel powiedział: czuwajcie i módlcie się – łącz więc bez ustanku te dwa obowiązki przez Niego samego przepisane. (...) Czuwaj nad sobą sama, walcz ze swymi ułomnościami, staraj się poprawić, opieraj się złym usposobieniom, nie czynj drugim czego byś nie chciała, aby tobie czyniono; wypełniaj wiernie obowiązki położenia w jakim Cię Bóg umieścił, to jest pierwsza rada”.

Zamoyska, mimo iż wychowała swe dzieci w głębokim poszanowaniu zasad Świętej Wiary, nie omieszkała swej córce raz jeszcze przypomnieć, co stanowi fundament życia każdego człowieka. Jakże trudno jest dziś odnaleźć podobną postawę rodzicielską! Katolickie wychowanie dzieci stanowiło od zawsze nie tylko niezbywalny i chwalebny obowiązek rodziców, lecz także zapewniało prawidłowy rozwój duchowy i intelektualny młodemu człowiekowi. Tylko prawidłowo uformowana osoba jest w stanie z godnością dźwigać trudy doczesnego życia tak, by ostatecznie zasłużyć na zbawienie i poprowadzić ku niemu innych. Dzięki właściwemu pojęciu i podejściu do dóbr doczesnych katolickie wychowanie zapewniało rów-

niez dobrobyt materialny. Fakt ten i Boże błogosławieństwo pozwalało arystokratycznym rodom fundować budowę katolickich świątyń, wspierać materialnie parafie i zakony. W murach tych ostatnich prowadziło światobliwe życie wielu synów i wiele córek arystokratów.

Ordynatowa Zamoyska wiedziała, że nabywanie cnót to proces nieustannej pracy nad sobą, kształtowanie charakteru i silnej woli. To codzienna walka nie tylko o duszę własną lecz również dusze osób, dla których nasze życie stanowi przykład do naśladowania. Jak wielka to odpowiedzialność! „Czuwaj nad sobą sama, walcz ze swymi ułomnościami, staraj się poprawić, opieraj się złym usposobieniom” to przepis na wykształcenie w sobie prawdziwej doskonałości chrześcijańskiej. Matka Jadwigi dokonuje głębokiej analizy ludzkiej natury i przedstawia konkretne sposoby leczenia jej ułomności. Z naciskiem również zaznacza, że praca nad sobą tylko wtedy będzie owocować, gdy oparta zostanie na Bożej łasce. Prawda ta odrzucana jest dziś ze wstrętem, praca nad sobą kojarzona jest nie z duszą, lecz ze sferą cielesną (kult ciała). Podobną postawę prezentuje dziś również wielu katolików. Obserwować ją możemy podczas Wielkiego Postu, kiedy podejmowane wyrzeczenia polegają najczęściej na odmówieniu sobie słodczy lub kawy.

POWINNOŚCI STANU

Szczególnie ważne dla współczesnych kobiet stają się dalsze słowa autorki Rad – „wypełniaj wiernie obowiązki położenia, w jakim Cię Bóg umieścił”. Jakież proste to słowa, logiczne i jak bardzo dziś niezbrane. Nieznane jest dziś pojęcie obowiązków stanu, czyli świadomość powinności, jakie wynikają z aktualnego położenia życiowego. Lecz by móc odczytać obowiązki stanu należy wpiery zrozumieć jego istotę. Zamoyska pisała do Jadwigi o obowiązkach małżonki i w przyszłości matki. Dziś koniecznym staje się przypomnienie istoty sakramentu małżeństwa i nade wszystko podległości, jaką żona winna jest mężowi. Obowiązkiem stanu małżonki nie jest praca zawodowa, kariera, zapewnienie dobrobytu materialnego, bezpieczeństwa. Obowiązkiem i przywilejem żony jest posłuszeństwo mężowi, troska o niego i dom rodzinny, zapewnienie szlachetnej i przepełnionej duchem katolickim atmosfery w domu i troskliwe staranie o własne zdrowie, którego zachowanie potrzebne jest jej przyszłemu macierzyństwu. Powinności te pozostają nie tylko koniecznymi do wypełnienia, lecz również są gwarantem szczęśliwego życia.

Warto pochylić się i zastanowić nad cennymi radami Zofii z Czartoryskich Zamoyskiej – wspaniałej katolickiej żony i matki jedenaściorga dzieci. Oby przykład jej życia stał się pożądanym i powszechnie naśladowanym w naszej Ojczyźnie.

Bogna Białecka

Kryzys kobiecości

Jak wygląda współczesny ideał kobiety? Niezależna, zadbana, wykształcona, dobrze zarabia. Odnosi sukcesy zawodowe. Ma interesujące hobby, wyrobiony gust. Cechuje ją wysoka kultura osobista i poczucie humoru. Jeżeli jest w związku, jest to związek w pełni partnerski, do którego obie osoby wnoszą po równo (zarówno w kwestii finansów, jak i prac domowych). Potrafi zadbać o swoje potrzeby seksualne, zarówno dzięki otwartej komunikacji z partnerem, jak i stosowaniu antykoncepcji umożliwiającej czerpanie przyjemności z seksu bez obaw o zajście w nieplanowaną ciążę. Jeśli chodzi o dzieci, to dla niektórych poczucie pełni kobiecości zaspokaja starannie zaplanowane dziecko, jednak nie jest to element niezbędny.

Jak wygląda ideał współczesnej katoliczki? Niezależna, zadbana, wykształcona, harmonijnie łączy karierę zawodową z byciem panią domu. Ma interesujące hobby, wyrobiony gust. Cechuje ją wysoka kultura osobista i poczucie humoru. Jeżeli jest w związku małżeńskim, jest to związek w pełni partnerski, do którego obie osoby wnoszą po równo (zarówno w kwestii finansów, jak i prac domowych). Potrafi zadbać o swoje potrzeby seksualne, zarówno dzięki otwartej komunikacji z mężem, jak i stosowaniu naturalnych metod planowania rodziny, umożliwiających czerpanie przyjemności z seksu bez obaw o zajście w nieplanowaną ciążę. Jeśli jest małżonką, jest matką starannie zaplanowanej dwójki, ewentualnie trójki dzieci.

Jeśli pominąć kwestię stosowania antykoncepcji bądź naturalnego planowania rodziny oraz tego, że jednak katolickie małżeństwa stosunkowo rzadko mają z wyboru tylko jedno dziecko, to właściwie mamy identyczną wizję współczesnego ideału kobiecości.

Katolicy tak bardzo nasiąknęli światowym sposobem myślenia, że nawet tego nie zauważają. Najlepiej widać to w kwestii podejścia do płciowości i prokreacji. Jakiś czas temu młode małżeństwo prowadzące z błogosławieństwem kościelnym liczne kursy i wykłady dotyczące planowania rodziny z dumą publicznie ogłosiło, że dzięki naturalnemu planowaniu rodziny katolicyzm nie będzie już kojarzony z wielodziećnością, ponie-

waż naturalne planowanie rodziny jest bardzo skuteczne (w zapobieganiu ciąży). Jeszcze dosadniej wyraziła to na łamach portalu fronda.pl Marta Brzezińska Waleszczyk: Jeśli Bóg widzi, że ludzie ufają Mu, stosują NPR, a nie ślepo uprawiają seks i rzeczywiście nie wierzą, że poradzą sobie z dzieckiem, to nie zrobi im na złość, pozwalając na poczęcie. Pan Bóg nie jest złośliwym zgredem. Czyli prokreację da się zaakceptować o tyle, o ile nie zaburza zbytnio życia rodziców. Dzieci są dopełnieniem samorealizacji matki – czymś, co nadaje jej poczucie pełni kobiecości. Wielodzietność z kolei dostaje etykietę kary za ślepe uprawianie seksu. No bo kto rozsądny wierzy, że naprawdę poradzi sobie z czwórką, piątką czy szóstką dzieci tak dobrze, jak z jedynakiem?

Oto stanowcze odejście od postrzegania macierzyństwa (a zwłaszcza wielodzietności) jako istoty kobiecości. Nowotestamentowy werset zapewniający, że kobieta zbawiona zostanie przez rodzenie dzieci (1 Tm 2, 15), otwiera nóż w kieszeni większości współczesnych katoliczek. Zresztą użycie tego cytatu w dowolnej dyskusji między katolikami dotyczącej prokreacji gwarantuje efekt trollingu.

Co się stało z postawą postrzegania dzieci jako Bożego błogosławieństwa? A w gruncie rzeczy, gdzie się podziało nauczanie Kościoła o celu małżeństwa? Gdzieś w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku odwrócona została hierarchia celów małżeńskich. Kiedyś mówiło się o prokreacji jako podstawowym celu związku małżeńskiego, potem cel ten został zrównany z celem budowania więzi miłości w parze, a dziś dzieci w ogóle przestały być postrzegane jako ważne. Widać to choćby w sposobie prowadzenia rekolekcji dla małżeństw. Na przykład, ojciec Knotz porównuje obrazoburczo łożę małżeńskie do ołtarza, pomijając jednocześnie prokreacyjny aspekt współżycia. Okazuje się, że wiele kobiet czuje się nieszczęśliwymi w małżeństwie wskutek niezaspokojenia seksualnego, a rekolekcje dla małżeństw nierzadko służą publicznemu wywlekaniu szczegółów pożycia intymnego małżonków. Także nauki przedmałżeńskie często koncentrują się na tym, jak nie mieć dzieci, nie stosując antykoncepcji. Na to wszystko zaś nakłada się nieszczyśny synod poświęcony rodzinie, który zajmuje się rozwodnikami, konkubentami, parami homoseksualnymi i ułatwieniem procedury stwierdzenia nieważności małżeństwa.

Wiele jest czynników, które wpływają na traktowanie dzieci jako kwestii pobocznej w małżeństwie, można jednak odnieść wrażenie, że Kościół za mało mówi, dlaczego dzieci są darem Pana i oznaką Jego błogosławieństwa. Niedobrze się człowiekowi robi, gdy słyszy z ust księdza argument, że Jezus był jedynakiem, zatem nie ilość, ale jakość jest ważna. Marzyłoby mi się, aby temat dzieci jako błogosławieństwa Bożego zaczął się pojawiać w kazaniach, listach episkopatu, rekolekcjach, katolickich książkach i mediach.

DZIEWICTWO – WSTYDLIWY PROBLEM

Nie jest to jedyny punkt, w którym katoliczki myślą jak feministki. Miałam okazję obserwować niedawno dyskusję nad artykułem prowokacyjnie zatytułowanym: *Dziewictwo z odzysku*. Sam artykuł jest tu nieistotny, dyskusja bowiem dotyczyła tego, czy wcześniejsze doświadczenia seksualne da się rzeczywiście „wymazać”, aby w żaden sposób nie wpływały na późniejsze związki. Czy wystarczy nawrócenie, przepracowanie problemu i zachowywanie zasad katolickiej etyki seksualnej w kolejnym związku? Okazało się, że spora grupa osób uważa, iż tak właśnie jest. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Szczera rozmowa na ten temat została, owszem, uznana za istotną, jednak z czysto praktycznego punktu widzenia – by wykonać przed ślubem badania pod kątem chorób przenoszonych drogą płciową. Natomiast dziewictwo samo w sobie przestało już absolutnie być wartością. Jedna z dyskutantek (*nota bene* praktykująca katoliczka) podsumowała to karykaturalnym stwierdzeniem, że nie chciałaby męża, dla którego jej najważniejszym atutem jest błona dziewicza, dodając, że niepotrzebny jej facet, który nie może znieść myśli, że nie będzie tym pierwszym.

Argumentacja taka wykazuje całkowite niezrozumienie problemu. A przecież pierwsze doświadczenia seksualne naprawdę wywierają silny, trwały wpływ na późniejsze związki. Gdy sferę intymną eksplorują dwie osoby będące białymi kartami w tym zakresie, w komforcie poczucia bezpieczeństwa związanego ze złożoną wcześniej przed Bogiem i ludźmi przysięgą wierności i uczciwości małżeńskiej, i że cię nie opuszczę aż do śmierci, w tych warunkach pierwsze doświadczenia seksualne sprzyjają budowaniu silnej i trwałej więzi. Gdy zaś pierwsze doświadczenie odbyło się w kontekście nietrwałego związku, czy wręcz chwili pożądania, wpływa to negatywnie na późniejsze przeżywanie seksualności. Owszem, przepracowanie problemu pomaga, ale go nie likwiduje. Czasami odzywa się to po latach, na przykład, w momencie kryzysu małżeńskiego.

Ale to przecież w gruncie rzeczy również argument praktyczny, tymczasem tak naprawdę pytanie brzmi: czy dziewictwo jako takie jest wartością?

Kiedyś katolicka odpowiedź brzmiała: absolutnie tak. Już w Piśmie Świętym możemy przeczytać o wartości dziewictwa (1 Kor 7, 25–40). Pochwała dziewictwa i jego piękna przewijają się przez wiele pism autorów katolickich – pozwolę sobie przytoczyć jeden z piękniejszych: „Jak samotny kwiat w górach, wysoko na krawędzi wiecznego śniegu, którego ludzkie oko nigdy nie widziało, jak niedostępne piękno biegunów i pustyń, które nie bez trudu mogą służyć celom człowieka, tak i dziewica oznajmia, że stworzenie ma sens jedynie jako blask wiecznego blasku Boga” – pisze Gertrud von Le Fort w książce *Die ewige Frau (Wiekuista kobieta)*.

A zatem dziewictwo jest, na przykład, obrazem Boskiego majestatu. Kiedyś mówiło się, że dziewiczość to nie tylko kwestie czysto fizyczne, ale stan umysłu, spojrzenia na świat – czystego, nieskażonego, pełnego radości i ufności. Dziś postrzega się zachowanie dziewictwa do ślubu nie jako wspaniały dar, nie jako wiano wnoszone w małżeństwo, ale jako sympatyczny, lecz pozbawiony większego znaczenia, sentymentalny gest. Ewentualnie coś, co katoliczka powinna mieć, ale wszyscy – mrug, mrug – wiemy jak jest...

FEMINIZM – KORZEŃ DZISIEJSZEGO ZŁA

Do tej pory mówiliśmy o wierzących i praktykujących katolikach. Patrząc z perspektywy typowej kobiety, dziewictwo utożsamiane z błoną dziewiczą stanowi tylko niesympatyczne utrudnienie w eksploracji seksualności. Źródłem prawdziwej satysfakcji jest wolność wyboru kariery zawodowej, a samorealizację postrzega się w kategoriach wolności uprawiania seksu bez obawy o ewentualną ciążę. Relacja z mężczyzną jest sympatyczna, jednak niekonieczna do szczęścia, a w razie trudności kobieta ma do dyspozycji największe osiągnięcia współczesności – aborcję i rozwód. Co takiego dzieje się w głowach kobiet, że zaczynają myśleć w ten sposób?

Badania prowadzone w ramach programu profilaktyki zintegrowanej „Archipelag skarbów” pokazują, że prawie wszystkie nastolatki marzą o trwałym, szczęśliwym i pełnym miłości związku małżeńskim. Pragną nie tylko małżeństwa, lecz także założenia rodziny i urodzenia dzieci. Uznają jednocześnie za korzystne i naprawdę sensowne odkładanie inicjacji seksualnej do momentu wejścia w trwały związek, któremu towarzyszy perspektywa na całe życie. Co więc takiego dzieje się w momencie wejścia w dorosłość, że kończą w bezdzietnych konkubinatach z substytutem dziecka w postaci psa czy kota?

Podstawą wynaturzonego obrazu kobiecości jest feminizm (co w sumie jest oczywiste). Lektura dowolnej współczesnej książki feministycznej prowadzi do wizji świata, w której kobieta i mężczyzna są śmiertelnymi wrogami – kobiety są klasą uciskaną, a jedyny środek osiągnięcia sprawiedliwości to nadawanie kobietom przywilejów kosztem mężczyzn w ramach rekompensaty za tysiąclecia patriarchalnego ucisku. Co zaś proponuje feminizm radykalny? Domaga się, na przykład, by kobiety miały prawo do ubierania się w wyzywające, seksualizujące je stroje przy jednoczesnym wprowadzaniu pojęcia „gwałtu wzrokowego” dokonywanego przez mężczyznę, który przypadkiem dłużej zatrzyma na nich wzrok. W rezultacie w Stanach Zjednoczonych wyrasta już pokolenie młodych mężczyzn, którzy nawet nie próbują wchodzić w relacje damsko męskie, ponieważ mają świadomość, że cokolwiek zrobią, może zostać zgłoszone jako gwałt. Jak

sobie radzą? Pornografia plus kariera zawodowa oraz drogie, męskie rozrywki. A to tylko jeden z wielu przykładów postulatów feminizmu radykalnego i skutków wprowadzania ich w życie.

Choć większość ludzi stwierdzi, że radykalne feministki są świrnięte, nie o to chodzi w feminizmie, to jednak właśnie one wyznaczają jeden z ważnych psychologicznych punktów odniesienia. Gdyby to przedstawić na kontinuum, po jednej stronie ujrzymy radykalny feminizm domagający się dyskryminowania mężczyzn na rzecz kobiet, pośrodku feminizm umiarkowany, który popiera prawo kobiety do zdrowia reprodukcyjnego (antykoncepcja, aborcja, rozwody), a po stronie przeciwnej feminizm katolicki, uznający za istotne, by kobieta bez wyrzutów sumienia mogła zdecydować się na małodziejność lub bycie singlem, stawiając na samorealizację w innych dziedzinach.

Tylko że to jest obraz fałszywy. Tak naprawdę mamy z lewej strony feminizm jako taki – odrzucający dziewictwo w panieństwie, a macierzyństwo w małżeństwie jako istotę kobiecości, a z prawej – katolicką wizję kobiety jako dziewicy, a potem matki. Pośrodku zaś (choć z lekka po lewackiej stronie) znajduje się coś, co możemy określić mianem katolickiego feminizmu stawiającego samorealizację kobiety ponad plan nakreślony wobec niej przez Stwórcę.

Jak zatem nastolatki przechodzą od marzeń o rodzinie złożonej z męża i dzieci do konkubinatu i psa? Prosto. Cały przekaz kulturowy przedstawia to, co *de facto* jest wypaczoną kobiecością, jako neutralny środek, a to, co jest *de facto* neutralnym środkiem, jako skrajne, prawackie oszołomstwo. W kręgach katolickich z kolei to, co jest neutralnym środkiem, przedstawia się jako heroizm, na który stać niewielu bohaterskich katolików. A to wywiera wpływ na nasze decyzje. Chcemy być normalne, mało kto ma chęć zostać herosem. W rezultacie wizja normalnego małżeństwa – w którym kobieta nie używa antykoncepcji, a mężczyzna nie jest seksoholikiem ani pornoholikiem, w którym nie ma zrad i awantur, a liczne grono dzieci rodzice przyjmują jako dar – wydaje się jakąś disnejowską bajeczką. Dziewczyny godzą się na to, co oferuje im świat, bo nawet nie zdają sobie sprawy, że istnieje jakaś alternatywa.

Marta Konopka

Jak kocha, to poczeka. Dlaczego tak późno decydujemy się na macierzyństwo?

Polacy coraz później wstępują w związki małżeńskie. Dzisiejsi kawalerowie i panny młode są o kilka lat starsi niż ci, którzy brali ślub w latach 90. Dlaczego mamy do czynienia z taką tendencją? Czy skutki tego zjawiska mogą być szkodliwe?

Czy rzeczywiście mamy do czynienia z coraz późniejszym zawieraniem małżeństw? Niestety, fakty mówią same za siebie – w roku 1990 ponad połowa żeniących się mężczyzn miała poniżej 25 lat, w przypadku kobiet było to 73 proc. Natomiast w 2009 roku tylko 22 proc. kawalerów i 41 proc. panien młodych nie przekroczyło 25. roku życia. Ponadto badanie przeprowadzone przez AC Nielsen wskazuje, że według 78 proc. Polaków najlepszym wiekiem do założenia rodziny jest trzydzieści kilka lat!

Powodów „starzenia” się nowożeńców jest wiele. Należy zwrócić uwagę na podejmowanie przez niespotykaną wcześniej liczbę absolwentów szkół średnich wyższych studiów. Tym samym okres dzieciństwa i pozostawania „na utrzymaniu” rodziców wydłuża się.

Dodatkowo większość obecnych studentów sądzi, że okres bezpośrednio po ukończeniu studiów także nie jest najlepszym momentem na zawarcie małżeństwa, wówczas młodzi chcą znaleźć pracę i ustabilizować się zawodowo. Ten tok rozumowania przypomina jednak błędne koło, ponieważ kolejnym argumentem przeciwko małżeństwu jest obawa o utratę stanowiska. Ponadto wskazuje się na brak mieszkań czy wsparcia finansowego dla młodych rodzin ze strony państwa.

Tak więc to nie miłość, ale kwestie materialne są najważniejszymi przesłankami do zawarcia (bądź nie) małżeństwa. Praca i mieszkanie stają się ważniejsze od życia z ukochaną osobą. O ile jednak te problemy stoją na drodze małżeństwa, o tyle w żaden sposób nie przeszkadzają tworzeniu związków nieformalnych. Aż 68 proc. Polaków uważa wspólne życie bez

ślubu za równie wartościowe, zupełnie nie zważając na popełniany w ten sposób grzech.

Chociaż ok. 60 proc. Polaków uważa małżeństwo za jeden z głównych życiowych celów, tylko co trzeci pragnie mieć w najbliższym czasie dzieci, mniej więcej taka sama liczba osób deklaruje, że w ogóle nie planuje potomstwa. W tej grupie niestety przeważają kobiety. Nowoczesny styl życia, który zmusza kobiety do pracy – psychologicznie lub ekonomicznie – powoduje, że urodzenie dziecka uważają one za ogromną przeszkodę w pracy zawodowej. Nie tylko okres ciąży i pierwsze tygodnie po narodzinach maluszka uważane są za problem. Kłopotliwe jest zapewnienie opieki dorastającemu dziecku. Dlatego też młodzi chcą uniknąć tego problemu, nie żeniąc się wcześniej.

Odkładając małżeństwo na później, rozwiązuje się również kwestia odpowiedzialności – dwudziestokilkulatkowie, uważający (na szczęście) przysięgę ślubną za wiążącą na całe życie, boją się zdecydować, z kim chcą żyć aż do śmierci. Dziwny jest fakt, że wyznający sobie miłość ludzie dopuszczają myśl, że kochany przez nich człowiek może nie być „tym jedynym”.

Ponadto spada zaufanie do instytucji małżeństwa, rosnąca liczba rozwodów skłania do wątpienia w nienaruszalność i wieczność ślubnej przysięgi.

... I CORAZ STARSI RODZICE

Skutki, które niesie za sobą coraz późniejsze zawieranie małżeństw, są bardzo dotkliwe dla rodziny i społeczeństwa w ogóle. Przede wszystkim pierwsze dziecko danej pary pojawia się, kiedy są po prostu starsi. Na początku lat 70. wiek kobiety rodzącej pierwsze dziecko oscyłował wokół 23 lat, w 2009 roku było to ok. 3,5 roku więcej. Coraz mniej jest rodzin wielodzietnych, mimo że za takie uważane są nawet te z trójką dzieci. Ponadto obecnie co piąty noworodek przychodzi na świat w związku poza-mażeńskim.

Takie tendencje wskazują na całkowite odwrócenie się hierarchii wartości – młodzi stawiają na pierwszym miejscu siebie, swoje potrzeby materialne i fizjologiczne. Pieniądże, kariera, własne hobby i praca ważniejsze są niż Bóg, rodzina i drugi człowiek.

Coraz więcej osób nie wchodzi w związek małżeński nawet w starszym wieku. Psycholodzy potwierdzają, że im dłużej człowiek żyje samotnie, tym trudniej jest mu zaufać drugiej osobie, szczerze ją pokochać i zacząć myśleć w kategorii „my” zamiast „ja + ty”. Niosąc za sobą ciężki bagaż przykrych doświadczeń niełatwo jest dać się ponieść uczuciom, miłość nie jest już taka sama, jak ta przeżywana w wieku dwudziestu lat.

Po co w takim razie latami zwlekać z zawarciem małżeństwa? Jeśli tylko jesteśmy przekonani o wzajemnej miłości i złożymy nasze zaufanie w Bogu, możemy być pewni, że pomoże nam On rozwiązać wszelkie przyziemne problemy. Wszak „ważne są trzy rzeczy (...) a z nich największa jest miłość”.

Bogna Białecka

Lęk przed macierzyństwem

Czy macierzyństwo jest przeznaczeniem każdej kobiety? Czy bezdzietność powoduje, że stajemy się nieszczęśliwe? Kto doświadcza lęku przed macierzyństwem? Jakie są tego przyczyny i konsekwencje? Co z tym lękiem możemy zrobić?

Z góry ostrzegam: jestem psychologiem, katoliczką i mamą czwórki dzieci, a więc „moherem” i „matką-Polką”. Dlatego osobom, które używają *argumentum ad personam* w celu zdyskredytowania merytoryki wypowiedzi, odradzam czytanie mojego artykułu. Niewątpliwie osobiste doświadczenie bycia matką wpływa na sposób postrzegania macierzyństwa – łatwiej mi zaakceptować na przykład wyniki badań psychologicznych, które budziły we mnie opór, gdy byłam panną. A jednak chcę rzetelnie podejść do tematu, by niepotrzebnie nie budzić poczucia winy w bezdzietnych.

BRUTALNE STATYSTYKI

Zacznijmy od odpowiedzi na pytanie o związek między poczuciem szczęścia a macierzyństwem. W roku 1993 opublikowano wyniki badań, które wstrząsnęły feministkami, postrzegającymi ciążę jako redukcję do bycia inkubatorem dla płodu, a wielodzietność – jako sprowadzenie kobiety do roli maciory. Badacze śledzili przez 15 lat losy niemal miliona kobiet – zarówno „singielek”, jak mężatek – pod kątem depresji i skłonności do samobójstwa. Oto wyniki badań¹: Bezdzietne samotne kobiety częściej popełniają samobójstwa niż mężatki, niezależnie od wieku. Wśród kobiet zamężnych matki rzadziej popełniają samobójstwo niż kobiety bezdzietne. Bardzo ciekawe zjawisko dotyczy kobiet w okolicach menopauzy. Okazało się, że w tym przedziale wiekowym najmniej skłonne do depresji i samobójstw są matki wielodzietne. Istnieje wręcz bezpośredni związek – im więcej dzieci, tym mniejsza skłonność do depresji i zachowań autodestrukcyjnych. Związek ten istnieje niezależnie od innych czynników, które mogłyby na to wpływać – jak na przykład wykształcenie czy przynależność do określonej warstwy społecznej. Jak widać, obiektywne dane pokazują,

że macierzyństwo daje poczucie szczęścia. Żaden inny cel zastępczy (np. kariera zawodowa) nie daje kobiecie takiego oparcia, jak bycie matką.

Zdecydowana większość kobiet „z wyboru” podejmujących decyzję o bezdzietności nie ma znaczących osiągnięć w jakiegokolwiek dziedzinie. Czas zyskany przez bezdzietność bynajmniej nie zostaje więc twórczo wykorzystany. Jedynym osiągnięciem jest zwykle więcej uzyskanych dóbr materialnych czy pięcie się po szczeblach hierarchii władzy w firmie. „Zaoszczędzony na pieluchach” czas marnuje się na poszukiwanie nowych sposobów spędzania czasu wolnego, gdy stare rozrywki się nudzą; ewentualnie na zdobywanie kolejnego tytułu na kolejnych studiach podyplomowych.

Pozostaje jednak pewien odsetek kobiet bezdzietnych z wyboru, które mają dar lub talent wypowiedzenia nowego słowa (Fiodor Dostojewski, *Zbrodnia i kara*). To „nowe słowo” zwykle dotyczy walki z macierzyństwem. Dlaczego? Przyczynami zajmiemy się później. Istnieje bardzo ciekawe zjawisko będące solą w oku feministek. A dotyczy właśnie oka. Opisuje je Desmond Morris, biolog, autor bestselleru *Naga małpa*. Otóż, jak już dawno zaobserwowano, gdy widzimy coś wzbudzającego w nas pozytywne emocje, coś godnego pożądania – rozszerzają się nam źrenice. Morris zwraca uwagę, że rozszerzenie źrenic wywołuje u ludzi widok niemowlaka – u kobiet zawsze, u mężczyzn zaś dopiero, gdy sami stają się ojcami.

ROZUM A BIOLOGIA

Gdy na warsztatach z komunikacji interpersonalnej podawałam spostrzeżenia Morrisa jako przykład mowy ciała, kilkakrotnie spotkałam się z ostrym atakiem ze strony uczestniczek. Uważały, zdaje się, ten fakt za upadlający.

Z bardziej racjonalnych argumentów padało, że biologia biologią, jednak jesteśmy *homo sapiens* i sam fakt, że jakaś reakcja fizjologiczna przychodzi automatycznie, nie oznacza, że musimy się jej poddać, bo w końcu mamy rozum. Czyli że sam fakt, iż biologicznie niemowlęta wzbudzają w nas pozytywne emocje, nie oznacza, że sami musimy mieć dzieci.

Bardzo dobrze, cieszę się ze zwrócenia uwagi na to, że mamy rozum i nie musimy być niewolnikami uwarunkowań biologicznych. Jednak głoszą to ludzie, którzy całkowicie odrzucają pomysł czasowej (naturalne planowanie rodziny) lub stałej (celibat) abstynencji seksualnej, jako „nienaturalnej”. Używają oni argumentu, że próba kontrolowania popędu seksualnego jest niezdrowa, bo sprzeczna z naturalnymi, a więc dobrymi impulsami. Co gorsza, głoszą to ludzie zdecydowanie odrzucający najbardziej naturalny ze związków: życie płciowe = prokreacja.

Może lepiej pogodzić się z faktem, że dążenie do rodzicielstwa wynika z samej natury człowieka i pojawia się nawet na poziomie bardzo podstawowym – biologicznym. Kobiety, które to zaakceptują, łatwiej poradzić sobie z wszelkimi problemami emocjonalnymi związanymi z niemożnością zostania matką. Z jednej strony, niektóre problemy z akceptacją rodzicielstwa, wynikające z traumatycznych doświadczeń z dzieciństwa, niedojrzałości, problemów psychicznych – da się leczyć psychoterapią (a czasem psychiatrycznie). Są także kobiety, których powołanie nie obejmuje bycia matką biologiczną – zakonnice, które dokonały świadomej rezygnacji z macierzyństwa biologicznego w imię wyższych ideałów.

Dla mnie jako psychologa zdumiewająca jest intuicja Kościoła katolickiego w tym zakresie. Jest on bodajże jedyną instytucją na świecie uznającą i szanującą naturalne dążenie kobiet do macierzyństwa i oferującą wszystkim kobietom możliwość wykorzystania tego naturalnego daru. Chodzi o macierzyństwo duchowe.

MACIERZYŃSTWO DUCHOWE

Powołanie do duchowego macierzyństwa wobec kapłanów jest zbyt mało znane, słabo rozumiane, a przez to rzadko przeżywane, mimo jego życiodajnego i fundamentalnego znaczenia. To powołanie – często ukryte, niewidoczne dla ludzkich oczu – ma na celu przekazywanie życia duchowego². Każda kobieta, która sama nie ma dzieci, może realizować swoje macierzyństwo na płaszczyźnie duchowej, modląc się i ofiarowując nieprzyjemności czy wręcz cierpienia dnia codziennego w intencji, na przykład, kapłanów. Duchowni, jako reprezentanci Kościoła katolickiego, w oczach opinii publicznej, bardzo takiej modlitwy potrzebują. Są na celowniku. Każdy błąd, każdy grzech kapłana jest bardziej widoczny i przynosi więcej zgorznienia niż grzech świeckiego katolika. Modlitwa za kapłanów, otoczenie ich swą macierzyńską miłością jest zatem misją szlachetną i niezwykle dla Kościoła pielgrzymującego istotną.

Inną postacią macierzyństwa duchowego jest duchowa adopcja dzieci nienarodzonych. Polega na podjęciu zobowiązania, by przez dziewięć miesięcy codziennie modlić się jedną tajemnicą Różańca w intencji poczętego dziecka, którego życie jest zagrożone, oraz w intencji jego rodziców. (Więcej na stronie: www.duchowaadopcja.com.pl).

Macierzyństwo można też realizować opiekując się cudzymi dziećmi – w przedszkolach, szkołach, ochronkach. Udaje się to i przynosi dobre owoce pod warunkiem akceptacji swojego instynktu macierzyńskiego, a zatem unikania zgorzknienia i zazdrości wobec matek biologicznych.

Niemożność macierzyństwa zostawia w życiu kobiety pustkę. Możemy udawać, że jej nie ma, możemy próbować ją zasypać feministycznymi slo-

ganami, możemy w końcu ten fakt zaakceptować i przepracować. Znam kobiety, które nie mogąc mieć dzieci, są doskonałymi „matkami emocjonalnymi” dla innych ludzi, obdarowując ich przyjaźnią i opieką. Nie jest więc prawdą, że życie bezdzietne nie ma sensu. Kobieta nie musi być matką, by być w pełni realizującym się człowiekiem, jednak nie można udawać, że niczego przez to nie traci.

KTO SIĘ BOI MACIERZYŃSTWA?

Każda kobieta obawia się macierzyństwa. Nawet jeśli miała dobre wzorce w rodzinie i wśród przyjaciół, obawia się, czy będzie dobrą matką. Warto zdać sobie sprawę z kilku rzeczy. Po pierwsze – nie ma matek idealnych (no, z wyjątkiem Matki Bożej, ale ona jest tylko jedna). Po drugie – to zupełnie naturalne, że nowa sytuacja nas stresuje. Po trzecie – współczesna kultura nieustannie podsycia w nas lęk przed macierzyństwem. Wystarczy spojrzeć na reklamy, filmy i seriale – znajdujemy tam zasadniczo dwa wzorce matek. Pierwszy to zawsze uśmiechnięte perfekcyjne damy serwujące reklamowane produkty swoim idealnym dzieciom; celebrytki będące według gazet idealnymi matkami, mimo iż z dziećmi widują się kilka razy na miesiąc, załatwiają resztę wychowania telefonicznie. Drugi to biedne kobiety, które „flaki sobie wypruwają” dla potomstwa, a dzieci i tak są niewdzięczne i sprawiają same problemy (bez tego nie byłoby prawdziwej opery mydlanej). Nie dorastając do wyidealizowanego obrazu perfekcyjnej matki, od razu wyobrażamy sobie, że jesteśmy beznadziejne.

Prawda leży pośrodku – żadna z nas nie jest idealną mamą, ale każda z nas ma swoje mocne strony jako matka. Obawa, czy dobrze wychowamy dzieci, jest naturalna, ale nie powinna nas paraliżować, lecz motywować do doskonalenia swoich umiejętności jako wychowawcy i mentora swych dzieci. Bycie Panią Domu wcale nie oznacza bycia „niewolnicą ściery i gara”. Ann Barnhill organizuje dla pozostających w domu kobiet kursy... zarządzania. Uczą się one tych samych technik, jakie poznają i na co dzień praktykują menedżerowie firm. Dzięki tym kursom są w stanie wykonać swe domowe prace efektywniej, taniej i szybciej, zyskując czas potrzebny, na przykład, na zadbanie o siebie czy... na kolejne dziecko. Rezultatem są prawdziwe Panie Domu – zadbane, dbające o swój rozwój i otwarte na nowe życie. Zarządzanie oraz bardzo ważna umiejętność otwartej komunikacji (umiejętność rozmawiania z mężem o ważnych dla was zagadnieniach, umiejętność zarządzania konfliktem itp.) powoduje, że kobieta, matka i żona może bez samopoświęcenia czy udawania na siłę zadowolonej i pogodnej rzeczywiście taką być – pogodną, zadowoloną, zadbana, elegancką „kura domową” czerpiącą ogromną satysfakcję z bycia żoną i matką.

INNE ŹRÓDŁA LĘKU

Natarczywa propaganda powoduje także, iż dziecko zaczyna współcześnie być postrzegane coraz częściej jako produkt. Co więcej – produkt z zakresu dóbr luksusowych. Czyż nie zdarza się nam słyszeć sformułowania: „nie stać mnie na dziecko” lub „nie stać mnie na więcej dzieci”? Oto efekt. Kobiety mają dziś poczucie – potęgowane przez reklamodawców – że jeśli nie zafundują dzieciom prywatnej szkoły, obozów językowych czy markowych ubrań, są złymi matkami. Co gorsza, nawet wśród katolików, niejako z natury otwartych na życie, krytycznym okiem spogląda się na ludzi, którzy (wychodząc z założenia, że Bóg nigdy nie obciąża swoich wiernych większym ciężarem, niż są w stanie znieść) zostawiają Bogu decyzję o liczbie dzieci, które się w ich rodzinach urodzą.

Uprzedmiotowienie dziecka przejawia się też w tym, że coraz częściej staje się ono narzędziem zaspokajania potrzeb dorosłych co do „posiadania dziecka”. Widać to choćby po zatrważającej liczbie jedynaków. Dla każdej matki obserwującej rozwój dziecka jest oczywiste, że potrzebuje ono rodzicielstwa. Jednak rozmowy z mamami jedynaków koncentrują się wokół potrzeb ich samych: „miałam straszny poród, nie chcę tego przechodzić jeszcze raz” albo „jeśli znów znajdę w ciąży, stracę kierownicze stanowisko”, itp. Zresztą usprawiedliwień, dlaczego poprzestaje się na jednym dziecku, są tysiące i wiele z nich brzmi rozsądnie. A jednak za wszystkimi kryje się postawa traktowania dziecka jako rzeczy, która ma zaspokoić **MOJĄ** potrzebę macierzyństwa. Od razu zaznaczam – nie piszę tu o sytuacji, gdy jedynactwo wynika z przyczyn od nas niezależnych (śmierć małżonka, bezpłodność i tym podobne).

Niegdyś macierzyństwo przedstawiano jako naturalną rolę kobiety i jako takie otaczano najwyższą czcią i szacunkiem. Dziś mówi się o macierzyństwie jak o pewnym hobby, pozwalającym na poczucie się „bardziej kobietą”, które jednak nie powinno przeszkadzać kobietom w spełnianiu ról typowo męskich. Kobiety, które rzeczywiście starają się być dobrymi matkami i otwierają swe serca na więcej dzieci, często spotykają się na co dzień z szykanami lub co najmniej ironicznymi uwagami. Funkcjonują głęboko już zakorzenione stereotypy, na przykład „rodzina wielodzietna to rodzina patologiczna”. Wszystko to razem nasila lęk przed macierzyństwem oraz lęk przed dziećmi.

LĘK PRZED DZIECKIEM I PEDOFOBIA

Istnieje kilka źródeł lęku przed dziećmi (w najbardziej rozwiniętej postaci klinicznej określanego mianem pedofobii). Jednym z najpoważniejszych jest – jak wykazały prowadzone przez dwadzieścia pięć lat badania Judith Wallerstein³ – trauma rozvodu rodziców. Ponieważ często powta-

rzamy wzorce wyniesione z domu, dzieci rozwiedzionych rodziców same wchodzą w związki, które nie wytrzymują próby lat, i boją się, że zgotują ten sam los swojemu potomstwu lub że zostaną samotnymi rodzicami. Świetnie ilustruje to anonimowa wypowiedź z internetu: *Jestem jedynaczką wychowaną przez samotną matkę i już w dzieciństwie przysięgłam sobie, że za nic w świecie nie chcę powielić tego schematu – a co zagwarantuje, że nie zostanę „samotną matką”? Tylko i wyłącznie sytuacja, w której nie będę matką w ogóle!*

Inną poważną przyczyną lęku przed dziećmi jest tzw. zespół ocalańca z aborcji odkryty i dokładnie opisany przez małżeństwo psychiatrów dziecięcych, Filipa i Marię Ney⁴. Problem ten dotyka nie tylko osób, które miały zostać zabite w prenatalnym stadium rozwoju, ale z jakichś przyczyn się to nie udało. Dotyczy on też rodzeństwa dzieci abortowanych, a także dzieci „chciany”, które jednak rodzice zabiliby, gdyby tylko poczęły się w niewygodnym dla nich terminie lub nie były wystarczająco zdrowe. Jednym z objawów zespołu ocalańca z aborcji jest właśnie pedofobia i niezdolność do wchodzenia w prawdziwie bliskie, pełne zaufania relacje intymne z drugą osobą.

Może to zabrzmieć dziwnie, ale źródłem lęku przed dziećmi mogą być także rodzice nadopiekuńczy. Oznacza to, że osoba, którą w dzieciństwie otaczano maksymalną opieką i miłością, której rodzice starali się zapewnić jak najlepszy rozwój i pomagali unikać trudności, wyrasta w rezultacie na skoncentrowanego na własnych potrzebach egoistę niezdolnego do wejścia w prawdziwie intymną relację z drugą osobą. Problem ten nie dotyczy przy tym wyłącznie stosunku owej osoby do dzieci, lecz do swojego „partnera”. Ludzie tacy często bronią się przed podjęciem zobowiązania w postaci związku małżeńskiego,wołąc konkubinaty jako niewymuszający odpowiedzialności za drugą osobę. Dążenie do „życia pełnią życia” i samo-realizacji maskuje w tym wypadku silny lęk przed głębokim zaangażowaniem w relację miłości z drugim człowiekiem.

Pocieszeniem jest fakt, iż wszystkie te problemy można leczyć na przykład psychoterapią. Jednakże część kobiet cierpiących z powodu lęku przed macierzyństwem, zamiast poddać się terapii, próbuje udowodnić światu (a przede wszystkim samym sobie), że powołanie do macierzyństwa to tylko kwestia inkulturacji, narzucania kobietom patriarchalnej wizji świata i zniewolenie kobiety. Stąd biorą się wojujące feministki ziejące nienawiścią do kobiet, które zdecydowały się na macierzyństwo (szczególnie zaś do matek wielodzietnych). Uważają nas za zmanipulowane, bezmózgie ofiary męskiej przemocy.

„ZDRADA” FEMINISTKI

A jednak i tu bywają niespodzianki. W 2006 roku feministycznym światem wstrząsnęła wypowiedź znanej pisarki Caitlin Flanagan, która oświadczyła publicznie, że pracujące matki pozbawiają swe dzieci idealnej dla nich sytuacji – matki pozostającej w domu. W książce *To Hell With All That: Loving and Loathing Our Inner Housewife (Do diabła z tym wszystkim: Kocham i nienawidzę kury domowej w sobie)* rozprawiła się z mitem, który głosi, że kobieta lepiej służy swym dzieciom, spełniając się w pracy, niż siedząc w domu.

Po burzy gwałtownych protestów feministek, w wywiadzie dla „National Post”, Flanagan podtrzymała swe stanowisko: „Powiedziałam prawdę, a gdy człowiek mówi prawdę, zawsze pakuje się w kłopoty. (...) Jeśli kochasz swoją pracę i kochasz swoje dzieci, i decydujesz się dać dziecku mniej siebie, idąc do pracy, tracisz coś wielkiego i znaczącego, i traci to też twoje dziecko. Gdybym siedziała tutaj z feministką, powiedziałaaby ona: «Twoje dzieci będą cię kochać, bo jesteś teraz tak szczęśliwa! I pewnego dnia dowiedzą się, że ich mama jest kimś ważnym dla świata». A ja bym odpowiedziała: «Moje dzieci nic to nie obchodzi. Mają teraz osiem lat. Chcą, by mama była z nimi i wcale ich za to nie winię»”.

Flanagan stawia wyzwanie kobietom, zachęcając je do przyznania się do sekretnych marzeń o byciu panią domu i matką dzieciom. Autorka woła: „Wyzwól w sobie kurę domową! (...) Kogo nie pociąga wizja tradycyjnej rodziny, gdzie mąż i dzieci powracają co dzień do czystego, pięknego domu, w którym wita ich zapach pysznego obiadu i śliczna, uśmiechnięta, zadbana mama, a wszyscy razem siadają do wspólnego radosnego posiłku?”.

PRZYPISY:

¹ *Suicide Among Women Related to Number of Children in Marriage*, Georg Høyer, MD, PhD; Eiliv Lund, MD, PhD Archives of General Psychiatry, 50(2),1993, s. 134-137.

² *Adoracja Eucharystyczna w intencji uświęcenia kapłanów oraz duchowe macierzyństwo*, Kongregacja ds. Duchowieństwa, Wydawnictwo Sióstr Loretanek, Warszawa 2008.

³ Zob. J. Wallerstein, J.M. Lewis, S. Blakeslee, *The Unexpected Legacy of Divorce*, New York 2000.

⁴ Patrz np. Ph.G. Ney, *Abortion Survivors*, Canada 1998.

Filip Obara

Wendy Darling w zwierciadle staropolskich cnót

Często słyszy się o „wiecznych chłopcach” uciekających do swoich Nibylandii, by tam odnotowywać pisane palcem po wodzie życiowe sukcesy. Czyż nie zapomina się równie często o towarzyszkach owych ekscytujących podróży – o „wiecznych dziewczynkach”, które wprawdzie tupną czasem nóżką na znak oburzenia niedojrzałością swych chłoptasi, ale bynajmniej nie myślą nakłaniać ich do zmiany. Przyczyną zjawiska zarówno Piotrusia Pana, jak i Wendy Darling jest kryzys rodziny, w której ojciec wycofuje się na margines, a matka zostaje sama wobec porzuconej przez męża odpowiedzialności. Czy zawsze tak było...?

Trudno byłoby ukazać prostą analogię między kryzysem męstwa i kryzysem kobiecości. O ile bowiem można powiedzieć, że w obu przypadkach kryzys dotyczy braku utożsamienia się z własną rolą płciową i zaniku konkretnych cech, o tyle przy omawianiu tych cech zaczynają się schody... Weźmy za przykład siłę. U mężczyzny jej zatrata, zarówno w psychice, jak i w mięśniach, w jasny sposób mówi o kryzysie. W przypadku kobiety z kolei nadmierny wzrost tej samej cechy, kosztem innych, również oznacza kryzys. Zatem – by użyć figury łączącej oba zjawiska – obraz nadodpowiedzialnej kobiety stanowi jedynie rewers tego samego medalu kryzysu tożsamości płciowej, na którego awersie widnieje podobizna nieodpowiedzialnego maminsynka cierpiącego na syndrom Piotrusia Pana.

W SŁABOŚCI SIŁA?

Czy mamy przez to rozumieć, że kiedyś kobieta była słaba i tę słabość afirmowała dawna patriarchalna kultura? Co wtedy należałoby myśleć o tych wszystkich dzielnych niewiastach, które podczas kilkuletnich nieraz wypraw wojennych swych mężów brały na siebie utrzymanie porządku w rozległych majątkach i zachowanie dyscypliny domowej; o tych niezłomnych w umiłowaniu wiary i ojczyzny, które pod zaborami uczyły swych synów zmawiać pacierz po polsku i recytować strofy narodowej poezji, by następnie modlić się za ich pomyślność na polach bitewnych;

o tych wszystkich wreszcie, które same wzięły do ręki broń bądź tajne przesyłki, by własnym potem i krwią znaczyć drogę do wolnej Polski?

Nie w prostym zaprzeczeniu siły wyraża się istota kobiecości, ale raczej w zdrowej afirmacji dla własnej słabości rozumianej w kontekście naturalnej i kulturowo skodyfikowanej różnicy ról płciowych. W kanonie cech osobowości wytworzonym przez cywilizację chrześcijańsko-klasyczną „słabość” płci pięknej nie oznacza wady, lecz jedynie uznanie przywódczej roli męskiego świata i akceptację własnej roli społecznej. Podobnie jak mężczyzna jest zobowiązany akceptować swoją rolę i swoją zależność od Boga, który jest źródłem jego władzy.

Jaki więc jest ten „dawny” mężczyzna? Używając słów kluczy, można by powiedzieć: niezłomny i suwerenny. Niezłomny, bo dysponujący wypracowanym potencjałem fizycznym i psychicznym do udźwignięcia każdego ciężaru spadającego na niego i na jego rodzinę. Suwerenny, czyli niepoddający się zewnętrznym i wewnętrznym wpływom osłabiającym morale jego i bliskich (przy czym to drugie określenie nie wiąże się bynajmniej z liberalnie pojętą „niezależnością” od zewnętrznego przymusu płynącego od Boga i ze strony uzasadnionych nakazów prawowitej władzy).

A jaka jest „dawna” kobieta? Stosując analogię, można by powiedzieć: delikatna i... poddana. Nie bójmy się tego słowa, wywołującego mentalny odruch wymiotny i mściwe zaciskanie pięści spaczony liberalizmem natury współczesnego człowieka. Delikatna – zgodnie z tym, co pisała, podziwiana przez całą Europę z powodu swego piękna i ogłady, ordynatowa Zofia z książąt Czartoryskich hrabina Zamoyska, w liście do córki Jadwigi (dziś znanym z wydań jako Rady dla córki): „Bądź łagodną, moja droga. Bóg ci to sam nakazuje, jest to najpiękniejsza i najponętniejsza cnota w kobiecie, bądź nią, bo ona ci zachowa przywiązanie twego męża, a panowanie łagodności jest jedynym panowaniem, o które kobiecie ubiegać się wolno, ale jest ono wszechmocne”.

A poddana? *Casus* tego, co Pismo Święte nazywa poddaniem żony mężowi należy do bodaj najbardziej kontrowersyjnych dla współczesnego człowieka elementów katolickiej antropologii. Pod naporem feminizmu przenikającego całą już tkankę organizmów społecznych przestajemy bowiem rozumieć tę wspaniałą harmonię, jaką Bóg zapisał w ludzkiej naturze. Stwórca, kreując człowieka na swój obraz i podobieństwo, obdarzył w nierównym stopniu mężczyznę i kobietę pewnymi cechami, które w Nim istnieją w stopniu doskonałym. Mężczyzna tedy kojarzy się bardziej ze sprawiedliwą cząstką Boskiego oblicza, kobieta zaś z tą miłosierną.

Widać w tym kontekście głęboką mądrość Pawłowego wezwania kobiet do bycia poddanymi, a mężczyzn do kochania (por. Ef 5, 22). Kobieta bowiem – jako kapłanka domowego ogniska, której mocną stroną osobo-

wości stanowi uczuciowość – czyni akt rozumowy, uznając swą zależność od męża, tak jak mąż uznaje swą zależność od Boga. Mężczyzna natomiast – jako wojownik walczący o byt rodziny, reprezentujący racjonalność i siłę – czyni akt miłości, wyrażający się w opiece, trosce i zrozumieniu potrzeb swej drugiej połowy. Nakaz poddania wiedzy kobietę ku zastosowaniu „męskiego” sposobu myślenia (uznania pewnego obiektywnego stanu rzeczy za obowiązujący niezależnie od okoliczności), natomiast nakaz miłowania sprawia, że mężczyzna przyjmuje bardziej „kobiecy” imperatyw działania.

NA FALI POPFEMINIZMU

W różnych artykułach na temat syndromu Piotrusia Pana często wspomina się o niewspółmiernych oczekiwaniach kobiet wobec współczesnych mężczyzn. Z jednej strony chcą one, by ich Piotrusiowie dojrzewali do odpowiedzialności za związek i rodzinę, z drugiej jednak trwają przy swoim – nieświadomym zapewne – buncie przeciwko akceptacji własnej natury, takiej, jaką Bóg stworzył i jak ją nasza cywilizacja zdefiniowała. Rodzi to sprzeczność o charakterze tragicznym, bo jakże Piotruś ma się stać odpowiedzialnym rycerzem, skoro jego wybranka nie czuje się już komfortowo w skórze damy? Bez obustronnej akceptacji własnej tożsamości płciowej w całej jej rozciągłości nie jest możliwe wspomniane wyżej harmonijne dopełnianie się mężczyzny i niewiasty.

Trudno zignorować w tym kontekście zjawisko feminizmu, który w drodze do przemiany świata przechodzi coraz to nowe mutacje. Ostatnio w masowym natarciu jest tak zwany popfeminizm, określane jako „czwarta fala” tegoż nurtu. Wdzierają się do przestrzeni publicznej gwiazdeczki w rodzaju Lady Gaga, Rihanny czy Miles Cyrus, finansowane przez nadrzędną wobec masonerii sektę iluminatów i otwarcie nazywane jej „maskotkami” (Illuminati puppets). Wraz z tym medialnym wtargnięciem wzorzec kobiety „wyzwolonej” utrwała się w podświadomości przeciętne odbiorcy – co więcej – staje się trendy. Feminizm przestaje tym samym kojarzyć się z niezbyt urodziwymi aktywistkami, które brak powodzenia w związkach z mężczyznami rekompensują sobie nienawiścią do tychże i walką o społeczne „parytety”.

Wobec takich realiów reprezentantkom wymierającego gatunku, do którego należała ordynatowa Zamoyska, ciśnie się na usta modne ostatnio określenie: „pozamiatane”...

OFIARA CZY WSPÓLNICZKA?

Czy szkocki pisarz sir James Matthew Barrie, pisząc na początku XX wieku książkę *Peter Pan and Wendy*, mógł się spodziewać, że postaci z jego

sztuki teatralnej, przeniesionej następnie na karty powieści, staną się bohaterami popularnej teorii psychologicznej, która – niebezpiecznie – rości sobie prawo do diagnozy problemu powodującego lwia część wszystkich bolączek toczącego kryzysem zachodniego świata? Fakt, że psychologowie mają skłonność do komicznych nieraz z punktu widzenia laika interpretacji dawnych tekstów kultury, ale z drugiej strony trudno odmówić trafności i pomysłowości w adaptowaniu owych wytworów dla potrzeb lepszego zrozumienia psychicznej kondycji człowieka.

Sztandarowych w literaturze psychologicznej analiz syndromu Piotrusia Pana i Wendy Darling dostarczają dwa bestsellery Dana Kileya: *Syndrom Piotrusia Pana* i nieprzetłumaczony na polski *The Wendy Dilemma*. Przykład Wendy jest znacznie mniej wyeksploatowany badawczo, o czym świadczy chociażby mniejsza popularność (i mniejsza liczba tłumaczeń) tej drugiej pozycji. Być może ma to związek ze wspomnianą na wstępie niejednoznacznością kryzysu kobiecości, przez którą trudniej uchwycić – i spopularyzować – wiedzę na temat „syndromu Wendy”.

Czy Wendy jest ofiarą – świadomej bądź nie – manipulacji uczuciowej Piotrusia, wplątującego ją w niezdrową zależność, czy też może stanowi jego żeńskie *alter ego*? Kiley odpowiada na to pytanie, charakteryzując dom rodzinny państwa Darling. Panowały w nim idealne warunki dla wykształtowania postawy „wiecznej dziewczynki” skłonnej do ulegania czarowi „wiecznego chłopca”. Między rodzicami Wendy panował dystans płynący z braku szczerej relacji. Ojciec był emocjonalnie nieobecny w życiu rodziny, przez co matka przyjmowała na siebie odpowiedzialność, biernie akceptując brak męskiej postawy ze strony swego męża. Wendy również nie wymaga od Piotrusia, żeby stał się mężczyzną. Nie inspiruje swego partnera do uczynienia kroku ku podjęciu odpowiedzialności, lecz chroni go przed jego własną niedojrzałością, tak jak robiły to zarówno jej, jak i jego matka.

Zaznaczając w ten sposób *de facto* swą niezależność i wyższość nad Piotrusiem (a co za tym idzie, negując własną kobiecą delikatność, ową paradoksalną siłę w słabości, o której Zofia Zamoyska pisała, że jest „jedynym panowaniem, o które kobiecie ubiegać się wolno”), Wendy popada w tragiczną sprzeczność, w której z jednej strony zdaje sobie sprawę z niewłaściwości postawy wybranka swych uczuć, z drugiej jednak nie podejmuje żadnej próby ratowania sytuacji. Chce utrzymać *status quo* niezdrowej zależności, ponieważ dzięki niej czuje się potrzebna. Mimo iż mierzi ją niedojrzałość Piotrusia, zostaje z nim, bo sama nie ma poczucia bezpieczeństwa i stabilności uczuciowej.

Motyw Wendy zawiera też w sobie pewien rys „feministyczny”. Zwrócił na to uwagę w jednym z wywiadów znany psycholog Wojciech Eichelberger: „Epidemia Piotrusiowa jest wynikiem transformacji kulturowej

i nasilającej się presji ze strony kobiet. Wygląda na to, że kobiety naszego kręgu kulturowego same na siebie ukreśliły bicz totalną krytyką stereotypu mężczyzny wojownika. Nie można wszystkich aspiracji do stawania się mężczyzną mocnym, dzielnym, odpornym i kontrolującym swoje emocje wkładać do worka z napisem «macho» i deprecjonować. W każdym razie, jakkolwiek by rozpatrywać przypadek Wendy, raczej trudno byłoby widzieć w niej ofiarę Piotrusia, która nie ponosi współodpowiedzialności za panoszące się zło”.

LUSTERECZKO, POWIEDZ PRZECIE...

Jak wyglądałaby panna Wendy Darling w lusterku znalezionym gdzieś na strychu w pałacu hrabiostwa Zamoyskich w Kozłówcze? Słyszac słowa prawdy, odrzuciłaby je zapewne, niczym zła macocha królowej Śnieżki, kiedy usłyszała coś, co podkopało jej uporczywie pielęgnowane przekonanie na własny temat. Wendy zareagowałaby tak zapewne nie dlatego, że jest zła, ale dlatego, że zjawiskowo piękne oblicze ordynatowej Zamoyskiej, poprawiającej swe lśniące kruczoczarne loki, stanowiłoby wyrzut sumienia dla biednej współczesnej dziewczyny...

Dlatego, że z ust urodziwej przedstawicielki tamtych bogobojnych i patriarchalnych czasów usłyszałaby: Przede wszystkim będę ci mówić o Bogu! O Bogu? Przecież ani rodzice, ani Piotruś nie mówili mi nic o Bogu – pomyślałaby Wendy. Pani ordynatowa nie dawałaby za wygraną: „Bądź zawsze wierną Jego prawu, bądź pobożną. Zbawiciel powiedział: czuwajcie i módlcie się – łącz więc bez ustanku te dwa obowiązki przez Niego samego przepisane. Co więcej: Czuwaj nad sobą, walcz ze swymi ułomnościami, staraj się poprawić, opieraj się złym usposobieniom, nie czyni drugim, czego byś nie chciała, aby tobie czyniono; wypełniaj wiernie obowiązki położenia, w jakim Cię Bóg umieścił”.

Wiara, samozaparcie... obowiązki stanu? Nie, to za wiele! – odpowiedziałaby Wendy, pozostając w tej odpowiedzi tożsamą ze swym czarującym i bujającym w obłokach niepoprawnym przyjacielem. Oboje negują bowiem filary ładu, na którym opierała się przez wieki zróżnicowana tożsamość obu płci. Taka jest kondycja współczesnego Piotrusia Pana i współczesnej Wendy Darling. Stąd bierze się tragizm tych coraz częściej spotykanych dziś postaci. Ich bunt przeciwko naturze i przeciw utartym w kulturze konwenansom jest źródłem ich największej słabości i niezadowolonia. I to zarówno z punktu widzenia kontrrewolucyjnej refleksji światopoglądowej, jak i z perspektywy analizy psychologicznej.

Pozamiatane?

Marta Konopka

„Dziewczyna idealna” według prasy kobiecej

Na rynku prasowym od wielu lat królują tytuły kierowane do nastolatek i młodych kobiet. Przeciętny nakład takiego czasopisma oscyluje wokół 70 tys. egzemplarzy. Jaki wizerunek „idealnej kobiety” proponuje swoim czytelniczkom „kobieca prasa”?

Nie tylko rodzinny dom, szkoła i grupa najbliższych przyjaciół oddziałują na to, kim jesteśmy. Wpływ sztuki, literatury – a w ostatnich wiekach przede wszystkim mediów – na ludzi zawsze był ogromny. Przypomnijmy choćby niespotykaną wcześniej falę samobójstw, która przeszła przez Europę po wydaniu *Cierpień młodego Wertera* w... 1774 roku. Nieszczęśliwie zakochani, przejęci tragicznym losem głównego bohatera, zdecydowali się pójść w jego ślady. Oddziaływanie utworu Goethego nie sprowadzało się zresztą tylko do skłaniania czytelników do odbierania sobie życia. Czytelniczki pragnęły ubierać się, zachowywać i zakochiwać, jak tytułowy Werter, czyli „ideał zakochanego mężczyzny” wykreowany przez niemieckiego poetę.

Skoro jedna powieść mogła w tak dużym stopniu wpłynąć na tysiące młodych ludzi, o ile bardziej oddziałują na współczesne młode kobiety wydawane w kilkuset tysięcznych nakładach miesięczniki i tygodniki? Spójrzmy, jaki wizerunek „ideału” jest w nich kreowany.

MODNA I PRZEBOJOWA

Czasopisma promują przede wszystkim dziewczyny pewne siebie, energiczne, nowoczesne, przedsiębiorcze, odważne, nastawione na zrobienie w przyszłości „kariery”. Skromność, spokój, dziewczęcy urok to raczej wady niż atuty współczesnej nastolatki. Dodatkowo każda z nich musi modnie się ubierać i malować (ilość stron poświęconych urodzie i ubraniom zajmuje od 1/3 do połowy objętości czasopisma). Nie posiadając szczupłych nóg i wyregulowanych brwi czytelniczka raczej nie powinna wychodzić z domu. Ponadto dziewczyny zachęcane są do „łamania stereotypów” poprzez uprawianie typowo męskich sportów czy jeżdżenie na

motocyklu. Żegnaj zatem kobieto „rozważna i romantyczna”, witaj „modna i przebojowa”.

W każdej gazecie pojawia się przynajmniej jeden reportaż poświęcony różnego rodzaju „ważnym sprawom”, od odchudzania po pozytywnie przedstawiony homoseksualizm (np. *Kiedy Krzysiek kocha Tomka*; „Dziewczyna” nr 7; lipiec 2004). Często niewiele można zarzucić autorom zniechęcającym do sięgania po używki, wstępowania do sekt, czy ucieczek z domu; cóż jednak, skoro styl życia promowany przez innych dziennikarzy na łamach tego samego pisma skłania lub zwiększa ryzyko wystąpienia takiego właśnie niebezpiecznego zachowania.

CAŁA WŁADZA W RĘCE DZIECI

Zaskakujący jest stosunek autorów i czytelniczek do władzy rodzicielskiej. O ile te drugie przyznają w ankietach, listach lub w inny sposób, że rodzice są dla nich najwyższym autorytetem, o tyle redaktorzy za wszelką cenę chcieliby ich go pozbawić. Np. autorka artykułu *HELP! Moi rodzice zwariowali!* („Dziewczyna” nr 4; kwiecień 2012) wymienia trzy najczęściej spotykane style wychowania: demokratyczny, partnerski i autorytarny – w którym „rodzic dominuje, dziecko jest całkowicie podporządkowane”. Oczywiście ten ostatni jest najgorszym stylem i należy go unikać.

MUSISZ SIĘ ZAKOCHAĆ!

Prawdopodobnie najpoważniejszym problemem, z którym może wiązać się lektura „prasy kobiecej” przez nastolatki jest promowanie wczesnego rozpoczynania życia seksualnego i związków pozamałżeńskich. W „Cosmopolitan” co miesiąc znajdziemy artykuły, których tytuły krzyczą: *50 gorących seksrad, czy Spraw, by pragnął Cię bardziej!*, oprócz tego prawie każde czasopismo prowadzi rubrykę porad psychologicznych, w której eksperci odpowiadają na pytania czytelniczek. Nierzadko 15-17-latki opowiadają tam o swoich intymnych problemach z chłopakami, sprawiając wrażenie, że jest to coś zupełnie normalnego dla dziewcząt w tym wieku.

Tragiczne konsekwencje może mieć dla nastolatki – nabyta podczas czytania kolorowych pism – świadomość, że właściwie prawie wszystkie jej rówieśniczki mają już chłopaków, chodzą na randki, a jeśli ona wkrótce nie straci dziewictwa, stanie się obiektem drwin bardziej „doświadczonych” koleżanek. W numerze pierwszym kierowanego do 15-latek, nieistniejącego już, pisma „Nicole”, przedstawiono średni wiek rozpoczynania współżycia przez kobiety w Europie, polski wynik (18 lat) był jednym z ostatnich, co autorzy określili jako wynik „kulturowego zacofania” i „braku równouprawnienia”. Ponadto często pojawiające się artykuły w rodzaju: *Zakochaj się wiosną/latem/jesienią* (zależnie od pory roku) lub psychotest:

Czy jesteś królową pocałunków? mówią same za siebie. Skutkiem takiej presji, wywieranej na delikatną psychikę uczennicy gimnazjum czy szkoły średniej może być chęć „zaimponowania” otoczeniu poprzez poszukiwanie miłości – a w zasadzie jej substytutu – na siłę.

CZEGO NIE ZNAJDZIESZ W „BRAVO GIRL”?

Należy zwrócić uwagę również na to, czego w czasopiśmie dla młodych kobiet nie ma – otóż mimo że zdecydowana większość Polaków deklaruje się jako katolicy, a płeć piękna uchodzi za tę bardziej religijną, próżno szukać w „Twiście” czy „Bravo Girl” jakichkolwiek odniesień do wiary. Omawiając nawet najtrudniejsze problemy, nigdy nie mówi się o Bogu i grzechu. W reportażu dotyczącym sekt całkowicie pominięto prawdziwy wymiar zagrożenia, skupiając się na aspektach mniej ważnych. A przecież młode, ciekawe świata dziewczyny stawiają sobie wiele pytań, na które powinny dostać odpowiedź. Poszukują autorytetów i wzorców do naśladowania – dlaczego nie pokazać im św. Teresy z Lisieux, bł. Chiary Luce Badano czy św. Marii Goretti?

Jak można również przedstawiać samorealizację jako najwyższy cel każdej kobiety zdobywany poprzez „robienie kariery”? Dlaczego o osiągnięciu szczęścia przy jednoczesnym poświęcaniu się dla innych, jako matka czy siostra zakonna praktycznie się nie mówi?

Pisma dla nastolatek tak bardzo skupiają się na tematach związanych z wyglądem zewnętrznym i związkach damsko-męskich, że brakuje w nich miejsca np. na relacje z podróży, przystępne artykuły popularnonaukowe, dłuższe recenzje książek czy filmów, które rozwijałyby wyobraźnię i wiedzę o świecie.

Reasumując – wpływ „prasy dziewczęco-kobiecej” na jej najmłodsze czytelniczki zazwyczaj jest skrajnie negatywny. Niestety, na polskim rynku trudno znaleźć czasopisma godne polecenia, które zainteresowałyby młode dziewczyny i jednocześnie przekazywały im wartościowe treści. Może warto to zmienić?

Szymon Nowak

Barbie – chore jest w modzie

Wiadomo nie od dzisiaj, że marzeniem wielu dziewczyn jest to, by dorównać gwiazdom, maszerującym równym krokiem w kostiumach uszytych przez najlepszych projektantów mody. Takie aspiracje rozbudzane są już we wczesnym dzieciństwie, gdy mała dziewczynka bierze do ręki lalkę Barbie.

Niebezpieczeństwo czai się w dziecięcym pokoju. Jego źródłem jest zasiadająca dumnie na półce, obok pluszowych misiów, dostojna Barbara Milicent Roberts – powszechnie znana jako lalka Barbie. Plastikowa zabawka nie daje po sobie poznać upływu lat, bo mimo że ma ich już ponad 50 prezentuje się zaskakująco atrakcyjnie, jak na ikonę popkultury przystało. Podbija tym serca dziewczynek na całym świecie. Sensualna, niemal wyjęta z pisma erotycznego, utrwała w umysłach dzieci absurdalny „ideał” kobiecego ciała. Jak, w wielkim skrócie, ma wyglądać ów „ideał”? Blondynka na pątykowatych, długich nogach, z wydatnym biustem. Oto wzór.

Jak zauważają psychologowie, ten całkowicie nierealny wzorzec może wnosić realny zamęt w proces właściwego kształtowania osobowości młodego człowieka. Gdy bawiąca się lalką Barbie dziewczynka dojrzeje do wieku nastoletniego, niemożność osiągnięcia proporcji „przyjaciółki z dzieciństwa” może stanowić poważne zagrożenie. Złe samopoczucie psychiczne, depresja, anoreksja czy bulimia – takie mogą być skutki „zaprzyjaźnienia się” małej dziewczynki z plastikową lalką.

Swoją drogą, warto pokusić się o mały eksperyment. Zamknijcie Państwo oczy i wyobraźcie sobie, że lalka Barbie nagle ożywa i przyjmuje wzrost przeciętnego człowieka. Okazałaby się wówczas prawdziwą popkraką! Nie może wszak poruszyć głowę, nie trzyma się na nogach i nie jest w stanie niczego wiać w dłonie. Jednak popkulturowe koło o nazwie Barbie, wprowadzone lata temu w ruch przez silnik marketingu, kręci się tak szybko, że nie sposób go już zatrzymać. Ani nawet przyhamować.

NA WYBIEG MARSZ!

Naturalnie, na pewnym etapie dzieciństwa kontakt z Barbie urywa się. Życie nie znosi próżni i w jej miejsce pojawiają się jednak nowi idole – często niebezpiecznie walczący o to, by zbliżyć się do „ideału” Barbary Millicent Roberts. To oni uzupełniają w nastolatkach przekonanie o fałszywym obrazie piękna, zaszczipionym w dziecięcym wieku. Iluzja, której początkiem było rozerwanie lakierowanego pudełka z plastikową lalką w środku, wypełniana jest nowym obrazem płynącym z kryształowego ekranu. Pannie i Panowie, oto gwiazdy wybiegów mające na sobie najlepsze kostiumy uszyte przez najlepszych projektantów i maszerujące w takt muzyki równym, rytmicznym krokiem. Która nastolatka nie chciała zostać modelką? Która nie chciała przynajmniej upodobnić się fizycznie do jednej z nich?

W ten sposób nastoletnia dziewczyna zderza się z kolejnym, wydumany wzorcem piękna. Prawda, którą skrywa chmura iluzji, może jednak porazić. Wiele zostało już napisanych tekstów o kulisach świata mody. Szczupła figura modelek, przedstawiana jako wzór atrakcyjności, to niezrządkiem po prostu efekt głodzenia się. Wystarczy przypomnieć chociażby śmierć modelki Any Caroliny Reston z RPA. Dziewczyna tragicznie przegrała z anoreksją.

Dopiero od niedawna potężny świat mody zadeklarował zmianę swojego oblicza. Pojawiły się nawet konkretne – choć wątpliwe jeśli idzie o wiarygodność – działania w tej sprawie. Oto dziewiętnaście kobiet modowego świata – redaktor naczelnych prestiżowego magazynu „Vogue” – zaproponowało regulamin, który powinien obowiązywać w całym świecie mody. Znajduje się w nim na przykład punkt nakładający na ludzi z branży obowiązek niepodejmowania świadomej współpracy z „modelkami poniżej 16. roku, ani dziewczynami wydającymi się mieć zaburzenia odżywiania”. Ciekawe jest samo sformułowanie o niepodejmowaniu „świadomej współpracy”. Może to stanowić alibi dla każdego, kto postanowiłby uchylić się od tej reguły.

Próby pewnych zmian w zdegenerowanym świecie mody nie zmieniają faktu, że nikt z jego kreatorów nie podejmuje refleksji nad destrukcyjnym wpływem niezdrowego wizerunku modelki. Opublikowane w Wielkiej Brytanii badania wskazują, że na anoreksję i inne zaburzenia odżywiania – głównie na tle psychicznym – cierpi tam 60 tys. osób, przede wszystkim młodych kobiet.

Wielka Brytania leży po drugiej stronie Starego Kontynentu, ale i sytuacja w Polsce wcale nie przedstawia się lepiej. Badania Głównego Inspektoratu Sanitarnego z 2009 r. mówią, że co trzecia gimnazjalistka z województwa łódzkiego o prawidłowej masie ciała przynajmniej raz w życiu odchudzała się. Co ósma odchudzała się radykalnie, stosując środki farmakologiczne albo głódówkę. A to tylko kropla w morzu.

CZAS NA DZIECI

Toksyczność modelingu to nie tylko poważne zagrożenie anoreksją i bulimią dla niemałego odsetka nastolatków. To również skrzywianie i odbieranie dzieciństwa kilkunastoletnim dziewczynom, pochłanianym przez świat mody. Nie trzeba być pedagogiem, by stwierdzić, że wybieg nie jest odpowiednim miejscem do kształtowania osobowości dojrzewającej dziewczyny. W ciągu kilku miesięcy, gdy kariera adeptyki modelingu nabiera tempa, rodzina i środowisko rówieśnicze w jednej chwili zastępowane są bezdusznym światem mody. A ten prędko pustoszy zarówno osobowość, jak i moralność nieletniej. Z jednej strony skąpo ubraną dziewczynę omiatają flesze aparatów, a z drugiej, podczas pokazów mody, setki par oczu.

Jak pokazuje przykład francuskiej firmy Jours Apres Lune, o żadnym zahamowaniu w tym wypadku nie ma nawet mowy. Parę lat temu kraj nad Sekwaną obiegła skandaliczna wiadomość związana z reklamą bielizny dla najmłodszych. Na zdjęciach promujących ową bieliznę, kilkuletnie dziewczynki zostały wystylizowane na dorosłe kobiety. Miały pełny makijaż, biżuterię i ubrane były w bieliznę marki Jours Apres Lune. Jakby tego wszystkiego było mało, pozy, w jakich zostały ujęte dzieci, były, delikatnie mówiąc, kontrowersyjne. Problem demoralizacji przez świat mody dotyka powoli – obok nieletnich dziewcząt – najmłodsze dzieci!

SILA ZŁEGO NA NIEWINNEGO

Zapach płynących ze świata mody pieniędzy poczuli medialni władarze. Postanowili wykroić z tego światka swoją część tortu. Odsłoną tego proceduru na naszym podwórku jest program „Top Model”, cieszący się sporą popularnością, zwłaszcza wśród nastoletniej części widowni. Co ciekawe, ta sztandarowa produkcja tvN-u pokazuje jak w pigułce cały problem fascynacji nastolatków światem mody. Oto młode dziewczyny tłumnie przybywają na castingi do programu. Są gotowe zrobić niemal wszystko, byle zagrać główną rolę w telewizyjnym show. Uczestniczki dają się więc skłonić do uwłaczających im zadań i wulgarnych sesji, czemu kibicują tysiące fanek przed telewizorami. Członkowie jury z kolei bez skrępowania pokazują na wizji swój „profesjonalizm” i rozeznanie w modowym świecie, dotykając młodociane uczestniczki tam, gdzie nie powinny sięgać dłonie dżentelmena.

Wszystko to zaczyna się od z pozoru niewinnej zabawki – lalki Barbie. Warto zastanowić się nad tym zwłaszcza wtedy, gdy w przedświątecznym okresie poszukujemy prezentów dla swoich pociech. Strawestujmy na koniec słynne ludowe powiedzenie: czym skorupka za młodu nasiąknie, tym już wkrótce trąci. Już wkrótce, czyli znacznie szybciej, niż się spodziewamy.

Magdalena Żuraw

Letni bezwsty

Dlaczego kobieta wyznająca islam, w najbardziej dotkliwy upał nie pokaże nawet włosów, przyznająca się do prawosławia nie wejdzie w spodniach do cerkwi, nie odsłoni tam też stóp i głowy, natomiast dzisiejsze katoliczki wsiądą półnagie do tramwaju, a po świątyni potrafią paradować w krótkich spodenkach i bluzce „na ramiączkach”?

Tam, gdzie postępuje laicyzacja, a rangę zwyczajowej normy zyskuje konformistyczne podejście do życia i hedonizm – tam ubiór w coraz większym stopniu jest „odkryciem”, a nie okryciem ciała. Wraz z ogólnym kryzysem obyczajów upadają również te dotyczące stroju. Na pytanie – co dziś ubrać – odpowiedź wyznaczać ma wyłącznie „wygoda”. Być może właśnie dlatego coraz częściej i na coraz większą skalę możemy dziś w pojazdach komunikacji miejskiej czy na ulicy podziwiać nie eleganckie stroje, lecz raczej coraz to obszerniejsze fragmenty bielizny naszych rodaczek.

Ta obserwacja potwierdza, że nasz sposób życia, czyli również ubierania się, ma bardzo silny związek z tym, jak i w co wierzymy. Świadczy również o tym, jak przedstawia się kondycja wyznawanej w danym kraju religii.

KWEFY, BURKI – TAK KAŻE ISLAM

Jak doskonale wiemy, religia mahometańska wymaga od kobiety, aby nie rzucała się w oczy. Niewiasta ma zakrywać swoje ciało szatami (czadorem, burką), które nie będą zbyt obcisłe, żeby nie uwidocznić kobiecych kształtów. Musi spuszczać wzrok, gdy mężczyzna na nią patrzy, być skromną i małomówną. Przed męskim spojrzeniem powinna chronić przede wszystkim włosy – w tradycji muzułmańskiej stanowią one połowę piękna każdej kobiety.

Dlatego będąc, na przykład, w Turcji – nie tak przecież ortodoksyjnej jak na standardy kulturowego obszaru islamu – Polak od razu doświadczy twardego zderzenia z innym światem. Prawdziwe zdumienie wzbudzić może widok tamtejszych kobiet. Przy 40 stopniach Celsjusza w cieniu i bardzo wysokiej wilgotności powietrza ciągle chodzą ubrane na czarno,

nadal też skrzętnie zakrywają wszystko, czego odsłonięcie może być uznane za bezwstydną. Często spod ubrania widać tylko ich oczy. Nad morzem, w rejonach objętych intensywną turystyką, zderzenie tych dwóch rzeczywistości jest jeszcze silniejsze. Zobaczymy tam Turczynki zażywające kąpiele w długich sukniach i Europejki leżące na ręcznikach w „stroju” topless, wdzierające się przy tym w stronę fotografującego je towarzysza.

PRAWOSŁAWNE SPÓDNICE

A jak rzecz ma się w krajach, gdzie dominuje prawosławie? Weźmy za przykład gruzińskie dziewczyny – większość nadal chodzi w spódnicach lub sukienkach, to dla nich oczywiste. Te spośród nich, które akurat założyły spodnie, przed wejściem do cerkwi obwiązują wokół bioder długie chusty, gdyż tylko tak wypada wejść do świątyni!

Gruzinki chodzą w publicznych miejscach ubrane w bluzki z zakrytymi ramionami. Dla nich również szokujący jest widok Europejki, którym spodnie nie przysłaniają nawet całych pośladków! Przebywające w Gruzji Polki z czasem zdają sobie sprawę ze swojego „odmiennego” wyglądu, te bardziej religijne starają się od razu coś w nim poprawić. Zaczynają chodzić do świątyni w chustach na głowach, a przed wejściem zmieniają buty, by zakrywały im stopy. Szanują miejscową tradycję i obyczaj, w innym wypadku czułyby wstyd.

EUROPEJSKA WYGODA

Turcja i tym bardziej Gruzja nie są zlaicyzowane aż w takim stopniu jak większość Europy. Na Starym Kontynencie i również, niestety, w Polsce, już nie wynikający z religii obyczaj dyktuje większości dziewcząt i młodych kobiet sposób ubierania się. Zaczynamy się przyzwyczajać – jeśli już tego nie zrobiliśmy – do dyktatu wygody nad wartościami i elegancją! Coraz mniej osób broni klasycznych strojów, skoro równouprawnienie, dając kobietom „wolność”, przyznaje im również prawo do obnażania się przed rodakami. Dziewczynkom w polskich domach, zwłaszcza tych wielkomiejskich, nie wpaja się szacunek do swojego ciała. Wręcz przeciwnie – coraz częściej już z domu wynoszą przekonanie, że ciało jest obiektem, któremu trzeba się podporządkować – jeśli jest mu za gorąco, trzeba je odkryć! Pomyśl, jaki kobietom islamu nawet nie przyjdzie do głowy, a prawosławne zniesmaczy, dzisiejszym katoliczkom wydaje się zupełnie normalny.

Narastająca akceptacja dla bezwstydu wynika zarówno z postępującej laicyzacji (której przyczyną to temat na osobne teksty), jak i z zaniedbań samych rodziców (z laicyzacją oczywiście się wiążących). Wielu ojców nie obchodzi dziś jak ubierają się córki. Matki natomiast nie chcą, by dziewczyny się „przegrzewały”, dopuszczają więc, by ich córki traciły godność

w imię wygody. Wiara w takich domach zapewne nie pojawia się zupełnie jako temat poważnych rozmów.

Czy jest jakaś recepta na to, by nasze córki nie chodziły półnagie po ulicach przy największym upale? Oczywiście. Musimy dać im solidne wychowanie. Wpoić, że najważniejsze nie są potrzeby ciała (nawet najbardziej zgrzanego) oraz że z gorącym kobiety przez wieki radziły sobie na różne sposoby. Kupujmy więc córkom sukienki z bawełnianych materiałów i wprowadzajmy w ich serca elementarne poczucie wstydu, niepozwalające im demonstrować biustu przypadkowym przechodniom.

Tam bowiem, gdzie nie ma poczucia wstydu, przegrywa cywilizacja (przez upadek obyczajów zawaliła się już niejedna!). Dzieje się tak w każdej dziedzinie życia – od sztuki, literatury, przez architekturę, aż do mody. Człowiek bez poczucia wstydu przegrywa, wkraczając na najlepszą drogę ku upadkowi.

Filip Obara

Dlaczego Jessica Rey nie nosi już bikini?

Czy chrześcijańskiej niewieście przystoi chodzić w bikini? W czasach, gdy już całkiem mimochodem potykamy się o zgniłe owoce xx-wiecznej rewolucji obyczajowej takie pytanie może brzmieć jak cytat z przedwojennego poradnika *Panny chrześcijanki*. A jednak – i dziś młode kobiety zadają je sobie odpowiadając niekoniecznie zgodnie z oczekiwaniami zliberalizowanego świata. O tym, dlaczego nie należy chodzić w bikini opowiedziała niedawno aktorka i projektantka strojów kąpielowych, Jessica Rey.

Słynny dwuczęściowy strój kąpielowy – jako symbol seksualizacji mody – kojarzy się przede wszystkim z takimi miejscami jak tętniące wyzwolonym żywiołem zmysłowości plaże i deptaki słonecznej Kalifornii. Okazuje się jednak, że Ameryka bynajmniej nie była matką tego śmiałego wynalazku z dziedziny kąpieliskowych kreacji. Autorem i propagatorem pierwszego projektu „najmniejszego stroju kąpielowego świata” był Francuz Louis Réard, z wykształcenia inżynier samochodowy, pracujący jako krawiec.

W roku 1946 zainaugurowano najnowszy krzyk mody, który ucieszył szczególnie męską część widowni zgromadzonej przy paryskim basenie Piscine Molitor – strój kąpielowy, którego nazwa pochodzi od jednej z wysp w archipelagu Marshalla, atolu Bikini. Nie bez powodu myśli projektanta powędrowały w poszukiwaniu nazwy aż na koralową wyspę na Oceanie Spokojnym – to tam bowiem Stany Zjednoczone prowadziły eksperymenty z bronią jądrową, a paryski krawiec spodziewał się reakcji na swoje „dzieło” podobnej do eksplozji bomby atomowej.

Czasy jednak były inne niż dziś i z trudem znaleźli modelkę, która zgodziłaby się wystąpić w tak skąpym stroju. Okazała się nią 20-letnia Micheline Bernardini – striptizerka pracująca w klubie Casino de Paris. „Strój” przez nią przyodziany uszyto z materiału o łącznej powierzchni 194 cm kwadratowych, a sam autor projektu mówił, że bikini jest prawdziwe, „jeśli można je przeciągnąć przez obrączkę ślubną”.

„Najmniejszy strój kąpielowy” rychło zrobił furorę na plażach Europy, z pewnymi wyjątkami, takimi jak rządzona przez generała Franco Hisz-

pania. Co ciekawe, do Stanów Zjednoczonych moda na bikini dotarła dopiero w latach 60-tych, na fali rewolucji seksualnej i nie była początkowo zbyt ciepło przyjęta. W Ameryce lat 50-tych i początku 60-tych odebrano bikini jako „podejrzaną część garderoby zalecaną przez rozwiązłe śródziemnomorskie standardy”. Magazyn „Modern Girl” w roku 1957 pisał: „Nie trzeba chyba marnować słów na komentowanie tak zwanego bikini, ponieważ żadna dziewczyna obdarzona taktem i przyzwoitością nigdy nie założyłaby czegoś podobnego”.

Pojęcie przyzwoitości uległo wszakże od tego czasu znacznym przemianom, a samo bikini – w myśl feministycznych postulatów – zostało utożsamione nie tyle z siłą mody, co z siłą samych kobiet. Czy słusznie? Na to pytanie odpowiedziała Jessica Rey – aktorka i projektantka strojów kąpielowych, których podstawową cechą ma być skromność.

Rey przytacza wyniki badań prowadzonych dwukrotnie na Uniwersytecie Princeton na grupach mężczyzn uczęszczających do koledżów. Przy użyciu metod neuroobrazowania ukazano reakcję mężczyzn na różne rodzaje ubioru. Okazało się, że wielu z nich na widok skąpo ubranych kobiet nie wykazało się w ogóle reakcją części mózgu odpowiadającej za kontakt z żywą osobą ludzką. Na symulacjach podświetlała się natomiast część mózgu związana ze światem przedmiotów nieożywionych. – Cześć mężczyzn nie wykazywała żadnej aktywności w przyśrodkowej korze przedczołowej, która jest częścią mózgu podświetlającą się w reakcji na myśli, uczucia i intencje drugiej osoby. Odkrycie to stanowiło szok dla badaczy, ponieważ prawie nigdy nie widują oni tej części mózgu wyłączanej w taki sposób – skomentowała właścicielka firmy Rey Swimwear, która w swoich projektach wzoruje się na kreacjach Audrey Hepburn. Mężczyźni patrząc więc na kobietę w bikini, widzą nie człowieka, ale przedmiot!

Prelegentka odniosła się także do obyczajowej walki dawnych zwolenniczek liberalizacji mody kąpielowej. – Wygląda więc na to, że noszenie bikini daje kobietom moc – moc wyłączenia u mężczyzn zdolności postrzegania kobiety jako osoby. Z pewnością nie jest to ten rodzaj mocy, którego szukała kobiety – powiedziała.

W kontrze do współczesnej mody Rey przypominała o wartości „naturalnego zmysłu skromności, który został przytępiony przez dzisiejszą kulturę”. – Samo słowo skromność (*modesty*) spotyka się często z pogardą, szczególnie wśród licealnej młodzieży – mówiła. Autorka książki *Decent Exposure* (co można by przetłumaczyć jako *Przyzwoitość eksponowana*) podkreśliła jak ważne jest przezwyciężanie stereotypów na temat mody, które dyktują postrzeganie skromności jako czegoś „nie na czasie”.

– Powinniśmy uświadamiać dziewczętom, że istotą skromności nie jest zakrywanie ciała, dlatego że jest ono czymś złym, że skromność nie po-

lega na ukrywaniu samej siebie, lecz na uwidocznieniu własnej godności. Zostałyśmy stworzone pięknymi na obraz i podobieństwo Boże, dlatego pytanie, z którym chcę was zostawić brzmi: jaki użytek zrobicie z danego wam piękna? – zwróciła się do słuchaczy Jessica Rey.

Dla chrześcijan nie powinno stanowić tajemnicy, że skromność i wstydlivość to wartości ponadczasowe, dzięki którym nawet moda może stać się ozdobą kobiecej godności i sposobem na przystojne ukazanie danych od Stwórcy wdzięków, bez narażenia na szwank przyrodzonej przyzwoitości. Czy uda się jednak dotrzeć do szerszej publiczności z tym – jeszcze 70 lat temu powszechnym – przesłaniem? Oby nie było to pytanie retoryczne...

Agnieszka Żurek

„I w co ja mam się ubrać?!”

Jak jest zima, to musi być zimno – jak powiedział klasyk. „Odwiecznego prawa natury” nie zmienimy, musimy zatem radzić sobie z zimnem przy pomocy odpowiedniego ubioru. Tradycja zimowego stroju – zwłaszcza kobiecego – jest długa i barwna. Niejednokrotnie – bardzo barwna. Prześledźmy zatem kilka typów zimowych strojów kobiecych. I wyciągnijmy wnioski...

KOTKOWI ZIMNO...

Chłód za oknem stwarza doskonałą okazję do okazania wobec mężczyzny tak zwanej „kobiecej słabości”, o której tak pięknie śpiewała Mira Zimińska w piosence *Si petite*. Zabieg ten polega z grubsza na skuleniu się i jednoczesnym pocieraniu prawą dłonią lewego ramienia, lewą zaś – prawego, połączanego z obdarzeniem towarzyszącego nam mężczyzny spojrzeniem jelonka Bambi i wypowiedzeniem cicho słów kruszących (prawie) każde męskie serce: „zimno mi...”

Niektóre z pań ubierają się zatem zimą zbyt lekko, męcząc się w spodniczkach mini i krótkich kurteczkach, oczywiście bez czapek – najwyżej w uroczych nausznikach. Komunikują w ten sposób, że dbają o elegancję nawet w najgorsze mrozy. Kilka lat temu karierę robiły tzw. białe kozaczki noszone o każdej porze roku. Na ogół wykonane były one z tworzywa sztucznego, toteż zimą ich noszenie groziło odmrożeniem stóp. Nie sposób jednak nie docenić waloru szpilek – na śniegu działają podobnie jak raki w górach, chroniąc przed upadkiem. Wiadomo, że mało który „kotek, któremu zimno” słuca babcinych rad wyrażanych dramatycznym okrzykiem w rodzaju: „nerki!”, „czapka!”, „przewieje cię!”. Elegancki kotek żyje na ogół „tu i teraz”, nie zastanawiając się zbyt nad konsekwencjami zdrowotnymi noszenia zbyt lekkiego ubioru. Pewien skutek może tu jednak odnieść odwołanie się do argumentu estetycznego – jeśli „kotek” jest w stanie wybiec myślą do wakacji i wyobrazić sobie swoje stopy w lekkich

sandałkach, możemy przypomnieć mu delikatnie, że fioletowa barwa skóry występująca po odmrożeniach może się utrzymywać nawet kilka lat.

HEJ HO!

Przeciwieństwem „kotka”, jest tzw. Typ Dziewczyny Rozsądnej. Ubiera się ona zimą tak, żeby było jej ciepło. I tyle. Nosi zatem spodnie narciarskie, do tego wełniane skarpety, pionierki, kurtkę z goretexu, polar, bieliznę termalną, a nawet – słynne Barchanowe Gacie, a na twarz nakłada grubą warstwę tłustego kremu Bambino. Policzki rumiane, organizm zahartowany, ale na widok dziewczyny, której do pełni image’u tyrolskiego brakuje jeszcze tylko jodłowania, mężczyźni wieją, gdzie pieprz rośnie. Mogą ją ewentualnie huknąć po bratersku w plecy i powiedzieć: „stary, yyy, znaczy Hanka, to co, idziemy dziś pobiegać?”, ale zaraz po bieganiu umówią się do kina z Różowym Koteczkiem. Hanka będzie – słusznie – pomstować nad upadkiem obyczajów, spędzając wieczór samotnie nad kubkiem kakao. Dajemy dziewczynie plusa za odpowiedzialność, dbałość o zdrowie i świecenie przykładem przed młodzieżą. No tak, tylko...

Lepsze wprawdzie „rozwiązanie barchanowe” niż „białokozackie”, ale bądźmy realistami. Żadna nastolatka nie myśli o swoim zdrowiu, ale przede wszystkim o urodzie. Jeśli przedstawimy jej alternatywę – ładnie albo zdrowo, zawsze wybierze „ładnie”. I właściwie czemu się dziwić? A czemu właściwie nie ładnie? Pora chyba zerwać ze stereotypami. Większość zdrowo myślących dziewczyn chce – na szczęście – wyglądać ładnie. Nie sposób oczywiście nie zauważyć nadmiernej koncentracji na powierzchowności, jaką wtłacza nam nasza współczesna kultura. Rozwiązaniem nie będzie tu jednak piętnowanie kobiet oddających się „marnościami”. Wytaczanie tego rodzaju dział może odnieść skutek dwojaki. Dziewczyna na myśl o tym, że jeśli decyduje się na „przyzwoite życie”, ma się zaraz okutać w barchany i przestać malować, stuka się w czoło i stwierdza, że skoro tak ma to wyglądać, to ona jednak mówi „pas”. W efekcie, w akcie buntu, idzie do solarium, a potem maluje paznokcie brokatem i kupuje szal z łąbiedziego puchu za 300 złotych. Ludzkie? Ludzkie. A głupie? No pewnie.

Mądrzejsza dziewczyna dochodzi do wniosku, że skoro myśli o życiu poważnie, to nie wypada jej robić podobnych rzeczy. Uczy się zatem ubierać praktycznie, ale bywa, że „przegina” w drugą stronę. Skoro świat pełen jest „różowych kocieczków” i skoro ja nie mam ochoty w tym uczestniczyć, to będę inna. W myśl zatem teorii, że przyzwoite kobiety się nie malują, a ich ubiór ma być przede wszystkim czysty i schludny (słowo, na dźwięk którego nastolatki dostają gęziej skórki), przywdziewa z rezygnacją jakiś stary sweterek w sinym kolorze, licząc na to, że jej powściągliwy styl będzie stanowił komunikat dla „przyzwoitych mężczyzn”, że oto na ich drodze

stała „przywoita kobieta” i warto się nią zainteresować. Czemu zatem wcale nie tak rzadko zdarza się, że „przywoity mężczyzna” traktuje ją jak kumpła? Zapewne dlatego, że jest mężczyzną. Nic zatem złego w tym, że chce w kobiecie widzieć przede wszystkim kobietę, na dodatek piękną.

Na szczęście coraz więcej katolickich publicystów, także księży, nie tylko nie zabrania kobietom wyglądać pięknie, ale wręcz je do tego zachęca, zdejmując z nich poczucie winy wynikające z wtłoczonego im kiedyś przekonania, że dbałość o powierzchowność to grzech. Sposobów dbania o atrakcyjny wygląd zimą jest mnóstwo, a funkcjonalność nie musi iść przeciw w parze z brakiem estetyki czy wulgarnością. Każdy normalny mężczyzna potwierdzi zresztą, że wulgarność wcale nie jest interesująca, ale wręcz nudna. Atrakcyjna jest za to kreatywność i dbałość o piękno. Nie wymaga to zresztą używania nadzwyczajnych środków. Zwykły sweter można ozdobić ciekawą broszką, kożuch po babci – artystycznym paskiem, kurtka może być ciepła, a jednocześnie mieć fason kobiecy, podkreślać talię. Nawet słynne ciepłe majtki zmieniły image – i rozmiar! – nie tracąc nic ze swoich właściwości ocieplających. A co do makijażu – co kto lubi, ale warto pamiętać, że fluid, obok funkcji upiększającej, ma także właściwości ochronne. A teraz meritum – nigdy dość powtarzania, że aby dobrze wyglądać, trzeba się dobrze czuć w swojej skórze. Nie będzie chyba jednak niespodzianką konstatacja, że większość kobiet czuje się dobrze, kiedy wygląda pięknie. I tak ma być!

Paulina Dolińska, Paweł Ozdoba

Jedź i żyj zdrowo! Medycyna św. Hildegardy z Bingen

Uznawana jest za największą średniowieczną zielarkę, znawczynię medycyny naturalnej. Kompozytorka, poetka, wizjonerka – wspaniała i utalentowana kobieta. Mowa o św. Hildegardzie z Bingen – jednej z najbardziej niesamowitych świętych kwitnącego okresu średniowiecza.

Św. Hildegarda urodziła się w 1098 r. w zamku nieopodal Bingen. W wieku ośmiu lat została poświęcona Bogu i trafiła pod opiekę przeoryszy konwentu benedyktynek, mądrej i szlachetnej Jutty, która wprowadziła swoją podopieczną w życie zakonne oraz zadbała o jej wykształcenie. Po śmierci Jutty została jednogłośnie wybrana na przełożoną klasztoru.

Hildegarda była jedną z najbardziej wpływowych osób swojej epoki, jak również jedną z najważniejszych postaci w historii chrześcijaństwa. Wieści o jej nadprzyrodzonych zdolnościach przenikały przez klasztorne mury i niosły się po całej średniowiecznej Europie. Przyjeżdżali do niej królowie i książęta. Spotykała się z papieżami. Wszyscy pragnęli uzyskać od Hildegardy diagnozy i porady dotyczące zdrowia.

Św. Hildegarda podkreślała ścisły związek pomiędzy odpowiednim żywieniem a zdrowiem. Według Świętej, to co jemy, jest naszym lekarstwem. Źródłem zaś zdrowia jest opieranie się na sześciu złotych zasadach:

- właściwie jeść i pić,
- czerpać energię życiową z czterech żywiołów świata,
- przestrzegać rozsądnej równowagi między ruchem i spokojem, czyli pracą i odpoczynkiem,
- odnaleźć naturalny rytm snu i czuwania jako równoważących się sił,
- praktykować sztukę wydalania substancji powodujących choroby,
- podtrzymywać uzdrawiające siły duchowe poprzez pełnienie cnót chrześcijańskich.

Drugą, istotną klasyfikacją był podział produktów spożywczych na: ciepłe, zimne, suche oraz mokre. Zdaniem Hildegardy, ten podział pozwalał na określenie zasad działania danego produktu na zdrowie człowieka.

Kuchnia św. Hildegardy zapewnia zaopatrzenie we wszystkie niezbędne organizmowi składniki. Jest oparta w głównej mierze na diecie orkiszowo-warzywno-owocowej. Spośród całej, ogromnej gamy produktów spożywczych jakie człowiek ma do dyspozycji, święta umiłowała szczególnie orkisz, kasztany jadalne oraz koper włoski. Są one ogromnie wartościowe i w pełni przyswajalne przez nasz organizm. Jedząc je, dostarczamy wszelkich niezbędnych składników odżywczych, które ponadto działają na nasz organizm leczniczo.

Mniszka radziła również, aby kluczowym składnikiem każdego z głównych posiłków, czyli śniadania, obiadu i kolacji, był orkisz. Święta uważała, że to ziarno jest doskonałym środkiem leczniczym, działa rozgrzewająco oraz natłuszczająco. Orkisz jest najlepszym ze wszystkich zbóż. Ogrzewa, odżywia, wzmacnia i jest łagodniejszym od innych ziaren. Daje człowiekowi mocne mięśnie i zdrową krew, szczęśliwy umysł i pogodną duszę – pisała. Jedząc orkisz, znakomicie poprawimy sobie nastrój, ponieważ ma on właściwości rozweselające oraz zmniejszające zmęczenie organizmu.

Dieta orkiszowa św. Hildegardy ze względu na obecność w niej rodanidu ma również bardzo korzystny wpływ na organizm osób chorych na nowotwory. Ta substancja jest naturalnym antybiotykiem występującym w ślinie, krwi czy mleku kobiecym. Wzmacnia układ immunologiczny, zapobiega powstawaniu komórek nowotworowych. Święta pisała już o guzach pojawiających się w ciele człowieka, prowadzących do choroby i radziła, co w takich sytuacjach stosować.

W medycynie Hildegardy uniwersalnym środkiem na wszystkie dolegliwości żołądkowo-jelitowe jest koper włoski. W Polsce znamy go głównie w postaci nasion, które zalewamy ciepłą wodą, aby powstał napar, polecany przede wszystkim karmiącym mamom. Jego mniej rozpowszechnioną postacią jest bulwa, czyli nic innego jak fenkuł, który ma ogromne właściwości lecznicze. Jest on bardzo bogaty w witaminę c. Zawiera spore ilości potasu, który obniża ciśnienie tętnicze i chroni przed uszkodzeniami naczyń krwionośnych, udarami i zawałami. Syrop z kopru włoskiego pomaga przy męczącym kaszlu, napar z kopru łagodzi dolegliwości grypowe, a co więcej, wywar z nasion ma dezynfekujące właściwości, które doceniali już dawno, dawno temu nasi przodkowie. „Niezależnie od tego, w jaki sposób jest spożywany, koper włoski sprawia, że człowiek jest wesoły, koper oddarza go przyjemnym ciepłem [dobre krążenie – dop. aut.], dobrym potem i dobrym trawieniem (...) Albowiem kto codziennie zjada na czczo koper włoski lub jego nasiona [pastylki z kopru włoskiego], zmniejszyła ilość złego śluzu lub zgnilizny w sobie i osłabia nieprzyjemny zapach oddechu. (...) Kto po zjedzeniu smażonego mięsa, smażonej ryby lub też innych smažo-

nych potraw odczuwa ból, ten niech zje odrobinę kopru włoskiego, a wtedy poczuje się lepiej” – pisała św. Hildegarda.

Ostatnim, szczególnie polecanym przez Hildegardę produktem jest kasztan jadalny, który odgrywa kluczową rolę, nie tylko dla ciała, ale i dla duszy. Kasztany można spożywać w postaci gotowanej, pieczonej lub smażonej. Nadają się również na przetwory czy też do wypieku ciast (po zmiełeniu na mąkę). Wartości kasztanów jadalnych możemy przyrównać do wartości zbóż. Są one dobrym źródłem węglowodanów złożonych, a dodatkowo nie zawierają glutenu (w przeciwieństwie do pszenicy). Zawierają także związek chemiczny zwany escyną, mającą właściwości uszczelniające naczynia krwionośne. Pomocne są również w leczeniu stanów zapalnych oraz obrzęków. Działają regenerująco na wątrobę. „Kiedy boli wątroba, zgnieć miąższ kasztanów jadalnych, włóż je do miodu [3 łyżki stołowe na 100 g miodu], potem spożywaj ten miód często, a twoja wątroba zostanie uzdrowiona” – pisała święta z Bingen. Kasztany jadalne oraz orkisz, sprawdziły się szczególnie w walce z białaczką; dzięki nim spada poziom leukocytów. Kto natomiast pragnie chronić się przed chorobą Alzheimera, poprawić pamięć i ustabilizować nerwy, powinien spożywać gotowane kasztany jadalne, tak jak to zalecała Hildegarda: Człowiek, którego mózg z powodu suchości jest pusty i dlatego jego głowa robi się słaba, niech ugotuje owoce w wodzie bez dodatków. Powinien on spożywać je często przed i po posiłku, a jego mózg urośnie i zostanie ponownie napełniony, zaś jego nerwy staną się silne i ustąpią także bóle głowy.

Jak widać, kuchnia św. Hildegardy z Bingen miała nie tylko smakować, ale przede wszystkim leczyć!

Magdalena Żuraw

Szydełkowanie, szycie, druty... dlaczego by nie?

Szydełkowanie, szycie, robienie na drutach – czysto kobiece czynności, nauczone jeszcze na początku lat 90. w szkołach podstawowych na ZPT-ach (zajęcia plastyczno-techniczne) – odeszły współcześnie do lamusa. Czy na stałe?

Rzadko która kobieta potrafi z kłębka wełny wyczarować sweter, czapkę czy rękawice. Rzadko która pochwali się własnoręcznie wyszydełkowaną serwetą bądź obrusem, osobiście uszytą sukienką lub też umiejętnością przerobienia zbyt dużej marynarki, wszycia suwaka. Do rzadkości należy również zdolność haftowania – a przecież jeszcze dwadzieścia lat temu mamy wyszywały nasze imiona na workach z kapciami.

To, co kiedyś było domeną każdej pani domu, dziś jest mile widzianą rzadkością. Ręcznie robione rzeczy i więcej kosztują, i są zazwyczaj lepsze jakościowo, i jest na nie zdecydowanie większy popyt. Zwłaszcza bardziej obrotne kobiety, które szydełkują dla przyjemności, szybko orientują się w sytuacji i stwierdzając duże zainteresowanie, zaczynają swoje rękodzieła wystawiać na sprzedaż. Coraz więcej jest małych, często wyłącznie internetowych (czy „facebookowych”) sklepików oferujących śliczne rzeczy w przystępnych cenach.

Możemy w nich zakupić m.in. buciki dla niemowląt, robione z najlepszej jakości wełny, które prócz tego, że są śliczne i idealnie nadają się na drobny upominek przy okazji narodzin czy chrztu, są również wygodne, naturalne i nie odparzają maluchowi stóp.

BYĆ KOBIETĄ KREATYWNĄ

Robótki ręczne w dawnych czasach były domeną każdej księżny, hrabianki i arystokratki, które zajmowały się nimi czy to dla przyjemności, czy też po to, aby popisać się swoją zręcznością przed innymi damami. Wraz z upadkiem monarchii upadać zaczęły również dworskie umiejętności, które z czegoś wysublimowanego, artystycznego i pięknego, przeradzały się już tylko w znaną doskonale służbie konieczność. I tak doszliśmy cho-

ciążby do czasów komuny, podczas której jak kobieta widziała dziurawą skarpetę, wiedziała, że kolejna para nie spadnie z nieba (a wystać ją będzie trzeba w gigantycznej kolejce). Brała więc nić (lub przędzę), sięgała po grzybek, na który trafiała fełerna skarpetka i dawała upust swoim umiejętnościom.

Współcześnie nie każda kobieta potrafi odnaleźć się w tak typowej dla nas i pożytecznej dziedzinie. Czy to oznacza jednak, że szydełkowanie, szycie, robienie na drutach skazane jest na całkowite zapomnienie? Bynajmniej. Choć feministki upatrują w tych czynnościach dowodu na nasze zniewolenie i przedstawiają przerabianie wełny, włóczki, kordonka jako popłuczyny szowinizmu (nieraz nawet wręcz uważają, że zajmowanie się tak błahymi czynnościami wykracza przeciwko równouprawnieniu), babskie robótki mają się może nie najlepiej, ale nadal całkiem nieźle. I choć powszechnie przeszły do lamusa, nadal mają swoje wierne przedstawicielki.

Niegdyś bowiem sama konieczność wymuszała na kobietach duże pokłady kreatywności. Dziś natomiast te z nas, które zostały pozbawione zdolności szycia, szydełkowania, robienia na drutach, stały się w pewnym sensie mało wystarczalne. Czyli to, co miało nas przybliżyć i zrównać z mężczyznami – odrzucenie szowinistycznych robótek – stało się czymś, za czym powinniśmy zatęsknić. Bo która z nas nie chciałaby wykroić sobie z materiału oryginalnej bluzki albo zrobić jakiegoś unikatowego dodatku małym haczykowatym drucikiem?

Robótki ręczne wracają właśnie w tej zapomnianej, wysublimowanej formie cechującej niegdysiejsze „panienki z dobrych domów”. Wymagają co prawda poświęcenia im dużej ilości czasu, którego współczesnym kobietom zawsze brakuje, jednak nadal mają swoje amatorki. I choć zrobienie swetra na drutach zdaje się dla wielu grą niewartą świeczki (gdyż gotowy czeka na wystawie większości sieciowych sklepów), są i takie panie, które starają się same zrobić coś ładnego i jedyne w swoim rodzaju dla siebie.

ROBÓTKI RĘCZNE ODSZTRESOWUJĄ

„Jestem kobietą dojrzałą, po pięćdziesiątce, ale odkąd sięgnę pamięcią zawsze dziergałam na drutach, szydełku i haftowałam obrazki. W trudnych finansowo czasach prace wykonywane dla kogoś pozwalały mi podreperować domowy budżet (...) Ja i córka chodziłyśmy zawsze oryginalnie ubrane. Czasy się zmieniły, moja sytuacja finansowa również i nie muszę już dorabiać, dlatego też każdy wolny czas poświęcam swojej pasji – haftowaniu. Robię to głównie dla siebie, ale jeśli wiem, że moi znajomi chcieliby mieć moje dzieło, wtedy robię im je w prezencie” – czytamy na stronie poświęconej m.in. szydełkowaniu list jednej z użytkowniczek.

Szydełkowanie jest więc, jak widzimy, i przydatne, i pożyteczne, a w ciągu setek lat naszej historii nieraz uratowało komuś życie. Z ciekawostek warto przypomnieć dla przykładu, że podczas Wielkiego Głodu, jaki nawiedził Irlandię w latach 40. XIX wieku, jedna z sióstr urszulanek rozpoczęła nauczanie miejscowych kobiet sztuki dziergania na szydełku. Wszystkie przedmioty, jakie udało się im w ten sposób stworzyć, zakon wysyłał w głąb Europy czy do Ameryki, gdzie schodziły jak świeże bułeczki. Do kobiet wracały pieniądze i wielu z nich udało się przetrwać tzw. głód ziemniaczany. Co więcej: stworzyły nowy styl szydełkowania koronek, który zapisał się jako styl irlandzki. Do Polski, zanotujmy, sztuka koronkarstwa trafiła dzięki królowej Bonie.

Szydełkowanie współcześnie jest również jednym ze sposobów na odstresowanie. Robótki ręczne pomagają radzić sobie z nerwami m.in.... znanemu amerykańskiemu aktorowi Ryanowi Goslingowi, który za szydełko chwyta po ciężkim dniu na planie filmowym.

Co zaś się tyczy samych kobiet – te odnajdują się także w innych artystyczno-funkcjonalnych dziedzinach. Robią kolczyki, bransoletki, szyją maskotki i zabawki dla dzieci, wyrabiają ozdobne pudełeczka, ramki na zdjęcia, malują flakoniki, ozdabiają lustra, etc. Wiele z nich własnoręcznie robi przykładowo papierowe bombki na choinki, wykorzystując w swoich pracach wszystko to, co przez kogoś innego mogłoby zostać zwyczajnie wyrzucone jako zbędne i niepotrzebne (np. kartonowe zakładki do segregatorów).

Jak więc widzimy, babskiej kreatywności nie ma końca. I o nasze umiejętności powinnyśmy dbać nawet wtedy, gdy nie są one niezbędne. Dlaczego? A chociażby dlatego, żeby czuć się bardziej kobieco i samowystarczalnie.

MEŹCZYŻNA

Kajetan Rajski

Jak żyć w niemeńskim świecie?

Jak żyć? – oto poważny dylemat egzystencjalny, przed którym staje dziś młody mężczyzna pragnący realizować w swoim życiu normalne, zdrowe wartości w duchu odpowiedzialności zarówno za swoich bliskich, jak i za własny rozwój.

Czasy współczesnego „pomieszania powszechnego”, coraz wyraźniej dającego się nam we znaki, naznaczone są wyteżonym atakiem na podstawowe cechy człowieka konstytuujące jego tożsamość. Zintensyfikowane szturmami na dogmaty wiary należą już zasadniczo za przeszłości. Możemy jedynie z nostalgią wspominać herezjarchów będących intelektualistami – Ariusza, Lutra czy dziewiętnastowiecznych modernistów. Pomimo rozlicznych błędów przeciwnych wierze katolickiej reprezentowali oni pewien poziom niuansowania spraw duchowych. Współcześni liderzy herezji zaś w swoich zainteresowaniach nie są w stanie wznieść się powyżej pasa. Seks przed ślubem, antykoncepcja, homoseksualizm – to przecież dziedzina najprymitywniejszych instynktów zbliżających ludzi zdecydowanie bardziej do zwierząt niż do aniołów.

Jak żyć w tak rozwydrzonym moralnie świecie? Pytanie to dotyczy przede wszystkim nas, młodych. Starsi wybrali już jakiś sposób życia – poszli na kompromis albo są znakiem sprzeciwu w świecie. Choć możliwość zmiany stanowiska istnieje aż do kresu żywota, to jednak słusznie mówi przysłowie, że starych drzew się nie przesadza – zasadnicza formacja człowieka następuje wszak w pierwszych dwudziestu pięciu latach jego życia.

JAK ŻYĆ, GDY SPODNIĘ ZA WĄSKIE?

Zapewne kogoś może w zakłopotanie wprowadzić fakt, że artykuł rozpoczyna się od kwestii mody. Nie, broń Boże, nie uważam jej za najistotniejszą! Ale bodaj w tym aspekcie życia najbardziej przejawia się kryzys tożsamości współczesnego mężczyzny. Czytelnicy z większych ośrodków miejskich zapewne potwierdzą wysoką częstotliwość ulicznych wątpliwości co do płci przechodzącego obok człowieka. Częstokroć jest to wina

fryzury – ilość inwestycji finansowych, czasowych i emocjonalnych wkładanych przez mężczyzn w troskę o włosy jest niewyobrażalna. Jakkolwiek jednak zwyczajna dbałość o nie jawi się jeszcze jako w miarę normalna, to z absolutnym brakiem zrozumienia muszą się spotkać kolczyki lub „tunele” u pici męskiej, wynikające bądź ze zniewieścienia, bądź z przynależności do ekstremalnych subkultur.

A ubrania? Współczesna moda męska jest, rzecz jasna, różnorodna, ale zasadniczo można ją sprowadzić do jednego wyrażenia – obcisłość za wszelką cenę. Obcisłe są garnitury, swetry, koszule i spodnie. Należąc do niezwykle szczupłych i stosunkowo wysokich osób, miałem niedawno problem z zakupieniem normalnych spodni garniturowych, ponieważ wszystkie, które przymierzałem w popularnej hiszpańskiej sieci odzieżowej, były tak bardzo wąskie, że po ich włożeniu nie widać było nawet „kantki”! A cóż dopiero ma uczynić ktoś tęższy? Chcąc pozostać za wszelką cenę modnym, musi paradować po mieście w stroju klauna.

JAK ŻYĆ, GDY W KOŚCIELE SAME BABY?

Człowiek wierzący zazwyczaj pragnie w jakiś sposób zaangażować się we wspólnotę wewnątrz Kościoła. Chce się modlić, formować i spędzać czas z ludźmi o podobnych pragnieniach, charakterze, poglądach. Problem w tym, że mężczyźni takiego miejsca w Kościele nie znajdują. Dziś kobiety nadają ton męskiemu przeżywaniu wiary. W wielu wspólnotach młodzieżowych, przede wszystkim o rodowodzie oazowo-charyzmatycznym, widok mężczyzn publicznie płaczących podczas modlitwy jest czymś zupełnie zwyczajnym. A przecież od wieków mężczyźni w miarę możliwości indywidualizowali swoją wiarę.

Miałem niegdyś okazję usłyszeć zestaw oazowych świadectw, w których uczestnicy rekolekcji mieli opowiedzieć, w jaki sposób je przeżyli, co było dla nich wartościowego. Nie od dziś zadziwia mnie przymus w uczestniczeniu w swych intymnych przeżyciach religijnych, jednak tu mieliśmy do czynienia niemal z konkursem, kto złoży bardziej niesłychane świadectwo, obowiązkowo wstawiając w to płacząco wątki o słyszeniu głosu Pana Boga. O zgrozo, uczestniczyli w tym również młodzi mężczyźni. Kiedy rozmawiając później z jednym z nich, zauważyłem, że chyba trochę przesadził z rozemocjonowaniem podczas publicznej wypowiedzi, przyznał mi rację, ale po chwili dodał, że tak przecież trzeba, że na tym nasza wiara polega...

Coś, co u kobiet jest jak najbardziej naturalne i zrozumiałe – mocno rozwinięty emocjonalizm – zostało mężczyznom narzucone z góry, bez pytania ich o zdanie i bez najmniejszej troski o ich dobro duchowe.

Emocje nigdy nie stanowią podstawy wiary – mogą być pomocne, ale budowanie na nich to zwyczajne stawianie domu na piasku. Nie ma się zatem co dziwić, że w polskich kościołach coraz mniej młodych mężczyzn, gdy wątki im najbliższe – krucjaty, idea Kościoła Walczącego, duchowe zmagania z szatanem – zostały we współczesnym Kościele uznane za *passé*.

Zdarzyło mi się za to usłyszeć, jak pewien kaznodzieja podczas homilii niemal potępił żołnierzy Armii Krajowej wykonujących wyroki śmierci na funkcjonariuszach gestapo czy ich konfidentach, ponieważ zabijali oni człowieka z całą jego przeszłością, a to rzekomo zawsze jest złe... Młody mężczyzna, gdy słyszy podobną retorykę, ma do wyboru: albo duchowo zniewieścić w kościelnej wspólnotcie, albo też samemu dla siebie być sterem, żeglarzem, okrętem, ryzykując, bez odpowiedzialnego kierownictwa, wejście na drogę błędów.

JAK ŻYĆ, GDY RODZICE NIE SĄ AUTORYTETEM?

Rodząc się w społeczeństwie i w nim też wzrastając, człowiek kieruje się wskazówkami i radami osób będących dlań autorytetem, które uważa za godne zaufania i bogate w doświadczenie. Każdy zatem człowiek jakiś autorytet ma – czasem będzie nim postać z historii czy współczesny wzór moralny, częściej, niestety, aktorka czy popularny piosenkarz. Podstawowym jednak wzorem zawsze są rodzice. Tymczasem pokolenie współczesnych czterdziesto- i pięćdziesięciolatków jest tak naprawdę pierwszą generacją silnie dotkniętą przez skutki żądz i grzechów – wszak rodzili się w czasie rewolucji seksualnej 1968 roku i pośród jej wpływu wzrastali.

Choć zjawisko zdrad i rozwodów istniało praktycznie od zawsze, to jednak pokolenie rodziców współczesnych dwudziestolatków jako pierwsze zostało nim silnie skażone, czego skutki odczuwają ich dzieci. Czy chłopak może mieć w sobie odpowiednio ukształtowany wzór ojca i męża, gdy jego własny ojciec jest już po dwóch rozwodach, a w niedługim czasie porzuci także kolejną kobietę? Oczywiście, znajdziemy sporo osób, które w taki lub inny sposób wyrabiają w sobie normalne podejście do spraw rodzinnych, pomimo haniebnego postępowania ich ojców. Niejednokrotnie wśród moich znajomych następuje powtórka z *Tanga* Sławomira Mrożka, w którym główny bohater jako młody człowiek przeciwstawia się zdegenerowanemu starszemu pokoleniu. Truizmem jest jednak, że podobna tragedia rodzinna zawsze pozostawia po sobie niezabliźnione rany i urazy.

W tych wszelako rodzinach, w których relacje są naturalne i zdrowe, ferment usiłuje zasiać medialna propaganda przeciwstawiająca starsze pokolenie – ostoję katolickiego ciemnogrodu – młodszemu, cechującemu się otwartością i tolerancją. Choć seriale są raczej domeną kobiet, to jednak nadal wielu młodych mężczyzn ogląda „tasiemce” hołdujące sprzeciwowi

wobec tradycyjnych wartości, w zamian za to postulujące swobodę seksualną niemal na wzór sowiecki.

JAK ŻYĆ, GDY MA SIĘ WYBÓR MIĘDZY „DRECHOLEM” A „MAMINSYNYKIEM”?

Mam to szczęście, że należę do jednego z ostatnich roczników, któremu pozwolono w przedszkolu bawić się zabawkami imitującymi broń. Obecnie, według relacji wielu moich znajomych mających dzieci w wieku przedszkolnym, nauczycielki zabraniają chłopcom takiej zabawy, ponieważ promuje ona agresję i powoduje strach u „spokojnie nastawionych” dzieci. Ten mały obrazek ze współczesnej rzeczywistości dobitnie pokazuje, w jakim absurdzie przyszło nam wzrastać. Z jednej strony rynek oferuje każdemu dziecku czy nastolatkowi gry komputerowe ociekające krwią i agresją, w których sceny likwidacji przeciwnika są przedstawione niezwykle brutalnie, z drugiej zaś na każdym kroku promuje się postawę skrajnie pacyfistyczną.

Wybór pozostaje zatem jedynie dwuwariantowy. Pierwszą z opcji jest przybranie formy „drechola”, dla którego „siłka” to jedyny sens życia (obok „ustawek na dzielni”). Brak realizacji jakichkolwiek celów wyższych aż bije po oczach, gdy słyszy się rozmowę tego typu osób w miejscu publicznym. Drugi wariant z kolei to ogromna awersja do jakiegokolwiek sytuacji stresującej, w której trzeba będzie wykazać się pewną odwagą, nawet za cenę poniesienia szkody fizycznej.

Oczywiście, „maminsynki” zazwyczaj neguje sens posiadania narzędzi do obrony własnej, na przykład broni, przedkładając ponad nią rozmowę z przeciwnikiem (*sic!*). W czasie, gdy na kijowskim Majdanie trwały protesty, a stosunki pomiędzy Polską a Rosją gwałtownie się pogorszyły, przejeżdżałem autobusem komunikacji miejskiej w pobliżu ukraińskiego konsulatu w Krakowie. Pałły się tam wówczas znicze, przechodnie zatrzymywali się – każdy przejeżdżający obok zwracał na to uwagę.

W pewnym momencie siedząca obok dziewczyna stwierdziła, że może kiedyś dojdź do agresji Rosji na Polskę, na co towarzyszący jej chłopak odpowiedział, że gdyby tak się stało, to on ucieka z kraju (rzecz jasna, zamiast czasownika „uciekać” użył wulgarnego synonimu). Jakkolwiek samo to stwierdzenie było już dość zaskakujące, znacznie bardziej zaskoczyła mnie reakcja dziewczyny. Deklaracja chłopaka wzbudziła jej podziw...

MĘSKIE PRAGNIENIE ŁADU I PORZĄDKU

Być może niniejszy artykuł ukazuje świat w dość pesymistycznych barwach. Z pewnością jest przecież wielu młodych mężczyzn, którzy chcą realizować w swoim życiu wartości stanowiące fundament naszej cywilizacji.

Jest przecież wielu młodych Polaków, dla których sens egzystencji sprowadza się do odpowiedzialności za własną wiarę, Kościół, Ojczyznę i rodzinę. Bardzo trudno wszakże realizować te cele w sytuacji, gdy każdego z nich z impetem atakują rewolucyjne siły dążące do zniszczenia Boskiego ładu i porządku.

A kobiety wcale nam tego zadania nie ułatwiają. Wiele spośród nich „schłopiało” i przybierając feministyczną postawę, deprecjonują rolę mężczyzny, który staje się w sumie niepotrzebnym dodatkiem do rodziny. Dlatego tym większa potrzeba zdecydowanej postawy w tak trudnych czasach i wzięcia na siebie olbrzymiej odpowiedzialności za ostatnie reduty normalności, które nam jeszcze pozostały.

Bogna Białecka

Kryzys ojcostwa

Coraz więcej małżeństw się rozwodzi, maleje też liczba rodzin wielodzietnych. Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy stanowi z pewnością degradacja pozycji mężczyzny w rodzinie. Warto się przyjrzeć chociażby systemowi edukacyjnemu, zdominowanemu wszak przez kobiety: w przedszkolach, klasach szkolnych, na wywiadówkach, w samorządach rodzicielskich – wszędzie prym wiodą panie. Decyzje związane z edukacją dzieci podejmowane są dziś praktycznie wyłącznie przez mamy – ojcowie się w te kwestie nie mieszają. A przecież jest to zwrot o 180 stopni w stosunku do roli ojca sprzed nie dalej jak stu lat.

Degradację pozycji mężczyzny w rodzinie w ogromnym stopniu powoduje na zachodzie Europy radykalny feminizm (wkraczający do Polski stosunkowo od niedawna), natomiast w naszym kraju czynnikiem decydującym jest twarda rzeczywistość antyrodzinnej polityki państwa. Ojciec nie jest już żywicielem i opiekunem. Niewiele rodzin jest w stanie utrzymać się z jednej pensji. Aby więc rodzina mogła żyć w godnych warunkach, kobiety po prostu muszą pracować. Walka zachodnich feministek o likwidację różnic w wynagrodzeniu mężczyzn i kobiet skutkowałą nie tyle podwyższeniem pensji kobietom, co obniżeniem jej mężczyznom. W rezultacie wiele kobiet, które wołałyby zostać w domu i zajmować się dziećmi, zostało zmuszonych do „dokładania się do domowego budżetu”. W Polsce ten sam efekt przyniósł socjalizm – współczesne polskie feministki tylko budują na sukcesie poprzedniego systemu.

SYNDROM PIOTRUSIA PANA

Nie mniej destrukcyjnym współczesnym „osiągnięciem cywilizacyjnym” jest absolutne *novum* – syndrom Piotrusia Pana. Chodzi o dorosłego mężczyznę zachowującego się jak niedojrzały chłopiec. Czarujący, dowcipny i... kompletnie niegodny zaufania. Mimo upływu lat nie potrafi zbudować trwałej więzi z drugą osobą. Mężczyzna taki skoncentrowany jest wyłącznie na sobie, najważniejsze są zawsze jego potrzeby, jego wygoda, jego za-

dowolenie. Nie potrafi wziąć na siebie żadnej odpowiedzialności, nawet za konsekwencje własnych decyzji.

Czas spędza na zabawie, pracę wykonuje byle jak, często pozostaje na cudzym utrzymaniu. Nieustannie poszukuje okazji do odprężania się i przelotnych przygód seksualnych. Często towarzyszy temu fascynacja sportami ekstremalnymi i upodobanie do drogiej konsumpcji. Choć zwykle deklaruje chęć głębokiej przyjaźni i znaczącego związku, jego relacje z innymi ludźmi są powierzchowne. Bywa, że Piotruś Pan się żeni, wymaga jednak wówczas od partnerki postawy opiekuńczej i pobłażliwej, jakby była mu ona matką, a nie żoną. Dorobiwszy się dzieci, potrafi się z nimi bawić, jednak umywa ręce od wychowania, a w sytuacji najdrobniejszego problemu – po prostu ucieka. Zjawisko to opisuje szczegółowo Dan Kiley w książce *Syndrom Piotrusia Pana*. Pędzący beztroskie życie, nigdy niedorastający chłopiec jest uroczą postacią literacką. Gorzej, gdy jest on członkiem naszej rodziny.

Piotrusia Pana wychowuje zazwyczaj nadopiekuńcza samotna matka lub też dorasta on w domu, gdzie matka ma pod każdym względem dominującą rolę, a ojciec został odsunięty na boczny tor. Oto błędne koło – kryzys ojcostwa powoduje przeniesienie problemu na kolejne pokolenie.

TOKSYCZNY GENDER

Warto w tym kontekście wspomnieć o odnoszącej coraz większe sukcesy ideologii gender, głoszącej, że różnice między płciami są wyłącznie natury kulturowej, a w istocie mężczyźni i kobiety psychicznie się od siebie nie różnią.

Ideolodzy gender uważają, że role płciowe określone przez kulturę są zawsze arbitralne, wymuszają dopasowanie do określonych oczekiwań, niezależnie od predyspozycji i potrzeb konkretnej osoby. Co więcej – uznają role płciowe obowiązujące w kulturze cywilizacji zachodniej za wysoce krzywdzące – przede wszystkim dla kobiet.

Jeden z najważniejszych dogmatów ideologii gender stanowi założenie, że społeczeństwo, w którym mężczyźni pełnią rolę żywicieli, opiekunów i przywódców, podstawowym zaś zadaniem kobiet jest rodzenie dzieci i opieka nad nimi – czyli tzw. społeczeństwo patriarchalne – jest narzędziem opresji kobiet. Kobiety są ofiarami instytucjonalnie utrwalonej męskiej dominacji.

A zatem – zgodnie z ideologią gender – pragnienie kobiety, by zostać matką, nie ma nic wspólnego z jej płcią, lecz z wyuczonymi, kulturowo narzuconymi oczekiwaniami oraz stereotypami, które się w nią wpaja od momentu, gdy sięga po pierwszą zabawkę. Jest więc ono wynikiem krzywdzącej kobietę indoktrynacji. Problem z ideologią gender jest taki, że choć

nie ma ona oparcia w nauce (przeczy jej sama biologia, zwłaszcza fakt różnic w psychice kobiet i mężczyzn wynikający z różnic w budowie mózgu), na wielu uczelniach powstają „studia genderowe”, tym samym nadając tej ideologii naukowy status.

Dlatego mężczyzna, pragnący być współcześnie prawdziwym mężczyzną, walczącym o swą męskość, stoi przed nie lada wyzwaniem. Słyszałam powiedzenie, że do bycia ojcem zaczyna się wychowywać chłopca od urodzenia. Współcześnie wielu mężczyzn dopiero w wieku dorosłym zaczyna poszukiwać pozytywnych wzorców swej tożsamości jako ojca i męża, a to jest zadanie nadzwyczaj trudne.

POLIGON MĘSKOŚCI

Miejscem, w którym mężczyzna może w pełni poczuć się mężczyzną, jest rodzina wielodzietna. Nie chodzi tu tylko o fakt spółdzenia wielu dzieci, choć warto wspomnieć, że wszystkie kultury uznają liczne potomstwo za błogosławieństwo. Wspomnijmy choćby słowa psalmu: „Oto synowie są darem Pana, a owoc łona nagrodą. Jak strzały w ręku wojownika, tak synowie za młodu zrodzeni. Szczęśliwy mąż, który napełnił nimi swój kołczan. Nie zawstydy się, gdy będzie rozprawiał z nieprzyjaciółmi w bramie” (Ps 127, 3-5).

Chodzi o coś znacznie więcej – rodzina wielodzietna z czystej konieczności powraca do tradycyjnego modelu, w którym ojciec pełni rolę żywiciela i obrońcy. Niezwykle wszak trudno pracować na etat kobiecie z piątką (i więcej) małych dzieci. I choć wielodzietność oznacza znaczące obniżenie standardu życia, to jednak otwiera pole kreatywności i pobudza twórcze rozwiązywanie problemów. Jak zachować estetyczny, czysty dom mimo niedoboru środków materialnych i konieczności panowania nad destrukcyjnymi popędami maluchów? Jak rozwiązać kwestię niedoboru metrażu w stosunku do liczby osób, tak by zapewnić każdemu prywatną przestrzeń? Jak podzielić obowiązki domowe i opiekę nad dziećmi, aby także żona miała możliwość zarobkowania (w postaci na przykład prac zleconych) czy chociażby czas na odpoczynek? To wszystko konkretne zadania stawiające wyzwanie męskiej zaradności. To w domu wielodzietny ojciec ćwiczy umiejętność zarządzania zespołem, bycia przywódcą, wyznaczania celów i stawiania priorytetów.

Wielodzietność uczy także różnicowania między potrzebami a zachciankami. Rodzice nie są w stanie finansowo spełnić wszelkich zachcianek swych dzieci, uczą je jednak zaradności, doceniania wartości pozamaterialnych, kształtowania charakteru.

LIDER, PRZEWODNIK, WZÓR

Warto także przypomnieć, że ojciec (nie tylko wielodzietny) jest w rodzinie przekaźnikiem wartości i to od niego zależy system wartości przyjęty przez jego dzieci. Dobitnie ilustruje to wypowiedź amerykańskiego działacza katolickiego Donalda Turbitta z ruchu Mężczyźni św. Józefa, który zauważa, że na 100 nawróconych młodocianych, 16 przyprowadza całą rodzinę do Kościoła, na 100 nawróconych kobiet 62 przyprowadzają całą rodzinę do Kościoła, gdy na 100 nawróconych mężczyzn – całą rodzinę do Kościoła przyprowadza aż 96. Dane te potwierdzają liczne badania – właśnie hierarchia wartości ojca ma największe znaczenie dla kształtowania systemu wartości w rodzinie. Piszą o tym i psychologzy, i pedagodzy, jak choćby dr Maria Jankowska w artykule *Rola ojca w wychowaniu dziecka* („Wychowanie w przedszkolu”, czerwiec 2010).

W rodzinie wielodzietnej ojciec odgrywa rolę szczególną. Tam, gdzie wielodzietność nie jest wynikiem przypadku, a świadomego otwarcia obu małżonków na przyjęcie daru wielu dzieci, musi istnieć dobra komunikacja między mężem a żoną. Konieczna jest współpraca i zgodny system wartości. W rodzinie wielodzietnej po prostu nie da się zrzucić odpowiedzialności za wychowanie dzieci tylko na kobietę. W rodzinie z jednym dzieckiem czy dwojgiem dzieci brak ojca bądź brak współpracy z jego strony może zostać w pewien sposób zrekompensowany działaniami matki. Przy większej ilości dzieci jest to fizycznie niemożliwe.

Piotr (ojciec ósemki dzieci) pisze o tym w liście do mnie: „Jedną z ról ojca w rodzinie, zarówno wielodzietnej, jak i nie, jest to, aby ojciec był autorytetem dla swoich dzieci. To on, patrząc z perspektywy dzieci, rozwiązuje ich najtrudniejsze sprawy. Wraz z żoną dopełniają się wzajemnie w swych rolach wychowawczych. Nie każdemu ojcu to pasuje, ale w niektórych sprawach powinien stać się na chwilę «matka»”. Podobnie wypowiada się Dominik (ojciec trójki dzieci): „Ojcowie sami sprowadzili się do roli bankomatu. Rola ojca jest kluczowa – w każdej rodzinie. Jest głową, od niego zależy wychowanie dzieci, ich podejście do życia i ludzi, on uczy świata, przekazuje wiarę, wartości – jest żywym świadectwem dla swych dzieci (dla synów – jak być mężczyzną, dla córek – jak patrzeć na mężczyznę)”.

Współczesny mężczyzna musi zatem walczyć o swą męskość. Ma przeciw sobie całą kulturę. Można jednak żywić nadzieję, że natura (w tym tęsknota współczesnych kobiet za prawdziwym, bogatym i owocnym macierzyństwem) nie da się zagłuszyć.

Jacek Kowalski

Zamiast seksualnie uświadamiać, bijmy dzieci...

...a zostaną wielkimi ludźmi. Ale to nie moja opinia, uwaga, zastrzegam, żeby mnie kto nie pociągnął do odpowiedzialności karnej!

MUZYKOTERAPIA MONARCHY

Ja tylko *relata refero*, czyli przytaczam oficjalną odpowiedź na pytanie skierowane do pewnego sarmackiego króla. Brzmiało ono: „Jakiej muzyki słuchać raczy Wasz Majestat z największym upodobaniem?”.

Odpowiedź (cytowana za „Nowymi Atenami” Benedykta Chmielowskiego): „Nie mogę wdzięczniejszy słyszeć muzyki, jako gdy słyszę płaczącego syna, wybitego różgą od profesora”.

Owym monarchą był król Kazimierz Jagiellończyk, a „professorem” sam Jan Długosz. Który nie tylko, że lał królewiczowskie pośladki, ale jeszcze był księdzem. Cóż za skandal...

EFEKTY WYCHOWANIA SZOKOWEGO

Długoszowa różga okazała się wszakże czarodziejską różdżką, bo owo sado-molestowanie przez księdza wydało świetne owoce. Podsumował tę rzecz Stanisław Orzechowski, ten sam, który położył podwaliny pod sarmacki samozachwyty ustrojowy. Wedle niego, dzięki różdze królewicze nie gnuśnieli, lecz ich (tu i dalej cytuję przykład Jerzego Starnawskiego) „pragnienie wielkości rozpałało”. Efekty dalsze – to losy królewiczów, którzy legitymując się takim a nie innym wychowaniem, stali się interesującymi kandydatami do europejskich tronów i ołtarzy: „w ich szeregu przedziwnym i boskim zrządzeniem najstarszy był Władysław, który jeszcze za życia ojca panował na Węgrzech; Jan Olbracht panował po ojcu w Polsce [...]; Aleksandra zaprosili Litwini”. Dalej „pozostało jeszcze dwóch, którym przypadły, jak wiecie, lepsze od ziemskich królestwa: Kazimierz i Fryderyk. Jeden z nich zaliczony został w poczet świętych” i spoczął ciałem we wileńskiej katedrze, Fryderyk natomiast został biskupem krakowskim

i arcybiskupem gnieźnieńskim, czyli prymasem, a także kardynałem – panował więc polskiemu Kościołowi. Zygmunt jako Zygmunt Stary został królem Polski.

Tyle, jeśli chodzi o skutki bicia dzieci przez nauczycieli. Jak widać – ekstremalnie pozytywne. Lecz powstrzymam się od dalszych komentarzy, bo jeszcze mnie posądzą. Przechodzę do problemu uświadamiania seksualnego na zasadach europejskich.

LEKcje PRZYSPOSOBIENIA SEKSUALNEGO...

W przypadku tychże synów monarszych daleko idącego uświadomienia podjął się reprezentant europeistów, Kallimach. Jego to właśnie Jan Olbracht „zażywał” (wedle „Nowych Aten”) „*ad consilia*” [do rady] obrażając przez to narodową dumę pozostałych Polaków, u których rad nie zasięgał. Zaś owe rady Kallimachowe miały za cel między innymi uświadomienie seksualne w szerokim tego słowa znaczeniu.

...I ICH SKUTKI

Niestety, kiedy Jan Olbracht wespół z Kallimachem raz „maszkarami [to jest przebieraństwem] w melancholii chce się rozerwać w zapusty”, sam zaś król dla niepoznaki „odniósł na twarzy larwę”, czyli założył karnawałową maskę, pośród jednej awantury, *incognito* występując, został „od kogoś raniony”. A do ran ciętych *vel* kłutych doszły pono jeszcze – odniesione podczas powyższych uświadamiających eskapad – rany weneryczne. Skutki długo czekać na siebie nie dały: król zszedł, sprowadzając na Rzeczpospolitą kryzys polityczny.

Wybór należy do ciebie.

A teraz, Czytelniku wybieraj. Bicie dzieci daje koronę, zaś uświadomienie seksualne pozbawia i korony, i życia. Jednak to nie ja mówię, nie, w żadnym wypadku, ja tylko *relata refero*.

Natalia Dueholm

Do baseballu i do rózańca

Amerykanie mają manię na punkcie baseballu i w końcu, po wielu latach zaczynam rozumieć, dlaczego. To fascynująca, trudna i wyjątkowa gra, formująca amerykański charakter. To jednak tylko jeden z powodów masowego uwielbienia dla baseballistów, wśród których są również dumni ze swojej wiary katolicy.

Amerykański sport narodowy to wielki biznes. To również filar popkultury, która w swojej formie odzieżowej rozprzestrzeniła się na cały świat. Już sama sprzedaż czapek, bluz czy koszulek różnych znanych zawodników i zespołów tworzy multimilionowy biznes nie tylko w Stanach Zjednoczonych. Widać to również w Polsce, gdzie charakterystyczne baseballówki stały się niezastąpioną częścią ubioru niektórych polskich gwiazd. Oprócz lansowania mody, w skład artykułów baseballowych wchodzi rozmaite gry (planszowe, komputerowe i inne), figurki, karty ze zdjęciami graczy i filmy przedstawiające sławne rozgrywki. Osobny rynek tworzą przedmioty kolekcjonerskie. Koszulki sławnych zawodników czy piłki z autografami osiągają wysokie ceny na aukcjach. Baseballowe idiomy, np. *strike out* – porażka, *grand slam*, czyli niespodziewana wygrana, *home run* – ogromny sukces, *touch base* – nawiązać kontakt, *pitch* – sugestia, wchodzą do zwykłego, codziennego językowego użycia. O sporcie tym pisano nawet sztuki teatralne i wiersze. W baseballu odbija się Ameryka, ukazując różne cechy życia swych mieszkańców.

Poza Stanami dyscyplina ta jest popularna w wielu krajach. Szczególnie na Dominikanie, w Wenezueli, Japonii, Korei Południowej i na Kubie, z których gracze trafiający do najlepszych zespołów w Stanach negocjują wielomilionowe kontrakty (w przypadku Kuby, jeśli uda im się wydostać). W USA istnieją dziesiątki muzeów baseballu, z których chyba najslawniejszym jest The National Baseball Hall of Fame w Cooperstown w Nowym Jorku.

CLINTON JAK... JOANNA MUCHA

Sport ten przewija się, a raczej odbija dość często w polityce. Sezon albo mistrzostwa otwiera pierwszym rzutem prezydent i sławni ludzie. Kandydaci na stanowiska lubią się popisać, jakiemu klubowi kibicują i w ten sposób osiągnąć popularność oraz zyskać głosy. Czasem przy okazji się skompromitują, co zdarzyło się Hillary Clinton startującej do fotela senatora z Nowego Jorku. Clinton chwaliła się, że jest fanem zespołu New York Yankees, co wielu wydało się skrajnie nieprawdopodobne. Nie wychowała się ona ani nie mieszkała w tym mieście, a w Illinois, i gdyby znała choć trochę ten sport, powinna wiedzieć, że Yankees są najbardziej nienawidzonym zespołem w kraju, poza Nowym Jorkiem oczywiście. Przy okazji mała podpowiedź pół żartem pół serio dla polskich ministrów spraw zagranicznych i ambasadorów: dla dobrych relacji polsko-amerykańskich warto znać się na baseballu.

Amerykanie oglądają baseball na żywo, na stadionach i w telewizji. To naprawdę widowisko – każdy mecz rozpoczyna się hymnem, podczas którego wszyscy wstają i śpiewają pieśń, kładąc rękę na sercu. Większość Amerykanów jest dumna ze swej narodowości i uważa swój kraj za najlepszy na świecie. Ten patriotyzm jest stałą postawą i trwa cały rok. Sezon jest rozgrywany pomiędzy kwietniem a październikiem (w lutym i marcu odbywa się tylko tzw. wiosenny trening) i składa się na niego ponad 160 meczów, nie licząc rozgrywek w ramach mistrzostw. Na stadionach kibice jedzą niezliczone ilości hot dogów, popcornu, lodów i ciasteczek, piją coca colę i piwo. Na stadionach nie ma zakazu sprzedaży alkoholu, a mimo to bijatyki zdarzają się rzadko. Bywa, że za niesportowe zachowanie (np. wykrzykiwanie przekleństw) fani zostają wyrzuceni z meczu przez specjalną straż. Reszta ogląda mecze trwające wiele godzin. Przychodzą tam całe rodziny, od noworodków po dziadków i babcie, na zakochanych parach kończąc. Zdarza się, że w trakcie przerw na telebimach ogląda się zakochanych, proszących swoje wybranki o rękę (z różnym skutkiem). Ich całusy bywają wychwytywane przez kamerzystę. Kiedyś spotkało to prezydenta Obamę i jego małżonkę (nietrudno się domyślić, że owo wydarzenie miało miejsce na krótko przed wyborami w 2012 r.) Hałas na stadionach jest potworny, do tego pełno migających świateł, ogłuszająca muzyka, ale również możliwość śpiewania. Całe tłumy lubią wykrzykiwać słowa piosenki: *Take Me Out to the Ball Game*, będącej baseballowym hymnem z 1908 r. I to prawda, wielu chce oglądać albo grać w baseball.

I aby grać dobrze, nie trzeba być ani wysokim, ani szczególnie wysportowanym (kiedyś zawodnicy tej dyscypliny byli znani z żucia tytoniu). Można być nawet otyłym. Jeden z graczy sam nawet przyznał, że nie jest atletą, ale baseballistą. Być może dlatego gracze są gwiazdami i bohaterami

mi dzieci i młodzieży, którzy od wczesnych lat dzieciństwa marzą o tym, żeby być tacy, jak oni. Czytają książki o życiu najslawniejszych zawodników w historii tego sportu, o Babe Ruth, który w trakcie meczów ochładzał głowę liśćmi kapusty, trzymając je pod czapką. Od najmłodszych lat chłopcy, a nawet dziewczęta grają w grę masowo i uczą się bardzo skomplikowanych zasad gry, występując w eleganckich uniformach (zawodnik bez kompletnego uniformu może być usunięty z gry w lidze młodzieżowej) i długich skarpetach, często nałożonych na spodnie. Zaczynają już trzylatki, posługując się specjalnym lekkim i plastikowym kijem i równie lekką i dość dużą piłką z otworami. Nastolatki uczą się sędziowania. Większość szkół w lepszych dzielnicach ma do tego specjalne boiska (piaskowo-trawiaste) w kształcie rozłożonego pod kątem prostym wachlarza z wyróżnionymi na nim trzema bazami i bazą domową (*home plate*). W tej grze chodzi o ich zdobycie, zebranie punktów i tym samym ogranie przeciwnika, który ma do tego nie dopuścić, przechwytyując piłkę i eliminując graczy. To tylko pozornie łatwa gra.

Baseball to gra zespołowa, ucząca koleżeństwa i współpracy, ale również gra rodzinna. Szanujący się tato codziennie po pracy ćwiczy z synem łapanie, rzuty i narzuty. Rodzice pojawiają się na meczach raz w tygodniu i kibicują swoim pociechom. Gra ta uczy dzieci charakteru, poczynając od przezwyciężenia strachu. Już samo stanie w gotowości z kijem, który ma uderzyć w twardą jak kamień piłkę lecącą z prędkością 60-70 km na godzinę (w zawodowej może osiągnąć ponad 160 km/h), rzuconą przez 12-latkę, jest nie lada wyczynem opanowania lęku. Nie ma się co dziwić, że uderzenie taką twardą, ręcznie zszywaną piłką w głowę potrafi powalić zawodowca. I jest bolesne nawet w lidze dziecięcej (maluchy potrafią rzucić piłkę z prędkością 40-50 km/h), bez względu na miejsce trafienia. Łapanie piłki w polu czy na pozycji łapacza w skórzaną rękawicę, która przy pierwszym kontakcie wydaje się niezmiernie nieporęczna, jakby po prostu za duża, wymaga treningu i dużych zdolności. Chyba najtrudniejszą pozycją jest funkcja miotacza, który często przesądza o wyniku meczu. Celne rzucanie do łapacza tak, aby pałkarz nie odbił skutecznie, wymaga dużej siły, precyzji i znajomości specjalnych narzutów mylących.

Sport ten nie wymaga oczywiście tylko indywidualnych zdolności. To strategiczna gra zespołowa, gdzie potrzebne są szybkie reakcje w zależności od rozgrywki. Gra ta wymaga również zespołowego zgrania, nie tylko zrozumienia tajnych znaków złożonych ze skomplikowanych sekwencji, które pokazuje łapacz miotaczowi. I uczy pokory, bo w większości przypadków zawodowym graczom nie udaje się odpowiednio odbić i potem dotrzeć do pierwszej bazy. Dla katolickich baseballistów jest ona również metaforą życia, w którym musimy radzić sobie ze stresem, przeciwnościami

mi losu, porażkami, sukcesami, dyscypliną, oparciem się pokusom. Pokazują to filmy z serii *Champions of Faith*: <http://www.championsofffaith.com/>, w których występuje prawie 30 graczy, menadżerów i trenerów otwarcie opowiadających o swojej religii, wierze i doświadczeniach życiowych z perspektywy katolickiej. Producentem i reżyserem filmu jest Tom Allen, redaktor naczelny portalu Catholic Exchange i prezes The Maximus Group, która zajmowała się dystrybucją *Pasji* Mela Gibsona.

SYMBOL DROGI ŻYCIOWEJ

Rich Donnelly, jeden z dawnych graczy, a obecnie menadżer, tłumaczy w filmie, że sama gra symbolizuje naszą drogę życiową. Zaczyna się ona od bazy domowej (*home plate*), w której spędzamy pierwsze lata życia. Potem dostajemy się na pierwszą bazę wczesnych lat, gdzie stosunkowo łatwo trafić. Kolejno przechodzimy na drugą, to czas lat nastoletnich i wczesnych lat 30., kiedy znajdujemy się najdalej od domu (*home plate*) i często najdalej od Boga. Będąc na trzeciej bazie szukamy życiowego porządku i mentora, dlatego stoi tam specjalny trener trzeciobazowy. On prowadzi nas do bezpiecznego powrotu do domu. Donnelly jest jednym z najtwardszych katolików, którego wiara ugruntowała się po śmierci zmarłej na nowotwór mózgu 17-letniej córki.

Podobnych do niego jest wielu. Mówią oni o niedzielnym uczestnictwie w Mszy Świętej (niektórzy codziennym), mocy Ducha Świętego, medytacji, czytaniu Pisma Świętego, pokoju serca, potrzebie spowiedzi, którą jeden z graczy nazwał „operacją na duszy”. Jack McKeon, były menadżer Marlins z Florydy, który doprowadził ich do mistrzostwa, opowiada o tym, jak podczas treningów wstawał codziennie o 6:00 rano i do kościoła dojeżdżał taksówką, kiedy zespół podróżował po kraju w ramach rozgrywek (gracze trenują w niedziele). Wśród ulubionych świętych wymienił św. Teresę od Dzieciątka Jezus, którą nazwał „najbardziej wartościowym graczem”.

Inny zawodnik, Mike Piazza, wyznaje otwarcie, że wszystko zawdzięcza Bogu i wspomina spotkanie z papieżem Janem Pawłem II, który go pobłogosławił. Jeff Suppan opowiada za to o modlitwie do Anioła Stróża i świętych oraz o tym, jak wspólnie z kolegą z zespołu, Davidem Ecksteinem, chodził na Mszę Świętą. Suppan na spotkaniach z młodzieżą opowiada o tym, że kiedy postawią Jezusa na pierwszym miejscu, już wygrali swoje życie. Namawia ich do pomodlenia się, zanim po szkole rzucą się na komputer i gry. Sam często modli się na różańcu i promuje tę formę modlitwy. Był również zaangażowany w zwalczanie prawa pozwalającego na badania wykorzystujące embrionalne komórki macierzyste. W filmie pojawia się również dość powszechnie nie lubiany zawodnik polskiego po-

chodzenia A. J. Pierzynski, opowiadający o spowiedzi i o telefonach swojej mamy, która przypominała mu o chodzeniu na Mszę.

Tak, z pewnością w baseballu gra wielu mniej lub bardziej zatwardzia-
łych grzeszników. Wielu z nich nie boi się jednak mówić o tym, jak po me-
czu trzymają się razem, słuchając w pokoju hotelowym muzyki religijnej,
podczas gdy ich koledzy bawią się w barze, podrywając kobiety. Wielu gra-
czy z Ameryki Łacińskiej na meczach całuje krzyżyk zawieszony na szyi,
robi znak krzyża na piersiach, czy podnosi ręce i głowę w niebiosa w geście
podziękowania Bogu za swój sukces. Przyznają oni często, że ważniejsze
od sportu jest dla nich bycie mężem i ojcem.

Baseball ma również w Polsce swoją tradycję. Niektórzy z nas pewnie
grali za młodu w palanta. Była to jedna z moich ulubionych gier. Według
strony <http://www.baseball.pl/>, gdzie można poczytać baseballowe wiado-
mości z Polski, na rozwój tego sportu mogli mieć wpływ Polacy grający
właśnie w palanta, przybyli do pierwszej angielskiej kolonii w Jamestown
na początku XVII w. Od 1984 r. istnieją w Polsce ligi baseballowe, w ramach
których toczą się rozgrywki klubów m.in. z Kutna, Warszawy, Wrocławia,
Rybnika. I dobrze, że baseballowa kultura się u nas rozpowszechnia nie
tylko przez noszenie czapek. Bo to dobry rodzinny sport, dla odważnych
i wytrwałych, ze średniowieczną, europejską tradycją.

Krzysztof Jendrzeczak

Biznes: można po ludzku

Etyka chrześcijańska w biznesie, udział pracowników w zarządzaniu – czy to utopia? Nic podobnego! Historia przedsiębiorczości dowodzi, że aby odnieść sukces na rynku nie trzeba wcale wprowadzać w firmie totalitarnego reżimu. Zamiast „zasobów” można przecież zatrudniać osoby...

W encyklice *Centesimus Annus*, ogłoszonej w 1991 r. bł. Jan Paweł II pisał: „Kościół uznaje pozytywną rolę zysku jako wskaźnika dobrego funkcjonowania przedsiębiorstwa: gdy przedsiębiorstwo wytwarza zysk, oznacza to, że czynniki produkcyjne zostały właściwie zastosowane, a odpowiadające im potrzeby ludzkie – zaspokojone. Jednakże zysk [...] nie jest jedynym regulatorem życia przedsiębiorstwa; obok niego należy brać pod uwagę czynniki ludzkie i moralne, które z perspektywy dłuższego czasu okazują się przynajmniej równie istotne dla życia przedsiębiorstwa”.

ETYKA CHRZEŚCIJAŃSKA A BIZNES

Wbrew obrazowi wyłaniającemu się z mediów, w dzisiejszym świecie nie brakuje wcale przedsiębiorców kierujących się nadrzędnymi wartościami i jednocześnie odnoszących spektakularne sukcesy na rynku. Jedną z najbardziej inspirujących takich postaci jest kilkakrotnie przywoływany na tym portalu Tom Monaghan, założyciel Legatusa – elitarnej organizacji zrzeszającej ok. 4 tys. przedsiębiorców katolickich (głównie z USA), którzy zarządzają firmami przynoszącymi rocznie co najmniej 10 milionów dolarów dochodu netto. Pomysł stworzenia tego typu organizacji zrodził się w jego głowie już kilka godzin po pierwszym spotkaniu z Janem Pawłem II, a było to 7 maja 1987 roku. Tom Monaghan, co również warto podkreślić, jest uosobieniem tzw. *american dream*. Do bogactwa doszedł dzięki własnej pracy i wyznawanym zasadom. Kiedy w wieku 23 lat kupował niewielką restauracyjkę w liczącym niespełna 18 tysięcy mieszkańców miasteczku Ypsilanti w stanie Michigan, nie miał żadnego pojęcia o prowadzeniu biz-

nesu i nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, że z czasem przekształci się ona w największą na świecie sieć pizzerii – Domino's Pizza.

Mniej znana, choć równie warta rozpropagowania jest historia Rogera Santa i Dennisa Bakkego, założycieli AES Corporation, światowego giganta w branży energetycznej oraz lidera w dziedzinie innowacji. Działająca obecnie w 25 krajach AES Corporation powstała w 1981 roku w Arlington, a w 1985 wybudowała w Teksasie swoją pierwszą elektrownię. - Sant i Bakke za priorytet przyjęli nie tradycyjne cele biznesu, zysk i ekspansję, lecz wartości etyczne – mówi dr Bronisław Bombała, autor książki *Fenomenologia zarządzania Przywództwo*. - Każdemu pracownikowi udzielali szerokich kompetencji decyzyjnych. Za podstawowe zasady uznali: uczciwość, sprawiedliwość, odpowiedzialność społeczną. A także zapewnienie ludziom satysfakcji, co nie oznacza wcale opieki socjalnej, lecz przyjemność, jaką daje pełne zaangażowanie i podejmowanie decyzji na własną odpowiedzialność. Założyciele AES zawsze przestrzegali nakazów Biblii i uważali, że każdy z pracowników zasługuje na zaufanie oraz szacunek - dodaje dr Bombała.

W Polsce jednym z najbardziej znanych przedsiębiorców dających świadectwo etyce chrześcijańskiej jest Jerzy Jamontt, przedstawiciel Legatusa i prezes zarządu WIROMET S.A. Firma z powodzeniem działa na rynku krajowym i zagranicznym, produkując wysokiej jakości urządzenia oraz części zamienne, głównie dla energetyki i górnictwa. W wywiadzie dla „Dobrego Magazynu” w 2006 r. Jerzy Jamontt tak mówił o sobie: „Oddanie mojego życia zawodowego Bogu miało miejsce w sposób świadomy kilka lat temu. Ponawiam ten akt zawsze, gdy stoję w obliczu trudności. [...] Co nie zwalnia mnie od maksymalnego ludzkiego wysiłku. Poza tym nasze przedsiębiorstwo jest oddane Matce Bożej. Co roku około 20 listopada mamy Mszę Świętą przed cudownym obrazem”.

PARTYCYPACJA I UPEŁNOMOCNIENIE

Ostatnie dekady przyniosły rozwój modeli biznesowych opartych na zasadach bliskich etyce chrześcijańskiej. Coraz popularniejsze stają się takie koncepcje, jak partycypacja w zarządzaniu czy *empowerment* (można to słowo tłumaczyć jako upełnomocnienie pracowników), które stanowią przeciwieństwo tradycyjnego autokratycznego czy technokratycznego modelu. Nie wszyscy jednak wiedzą, że taką filozofię zarządzania stosowała już przed wojną działająca w branży naftowej polska firma „Gazolina”, największa wówczas spółka pracownicza na świecie, a w ostatnich latach do tych wzorów nawiązywał Józef Pękała, wieloletni prezes Elektrowni Opole. Co ciekawe, podobnie dziś działa znana amerykańska firma W. L. Gore Associates, która dostarcza na rynek ponad tysiąc produktów z tworzyw

sztucznych. Zatrudnieni pracownicy uznawani są w niej za współników. Tworzą oni małe zespoły, które powstają i zmieniają się według potrzeb. Wspólnicy sami podejmują decyzje o zatrudnieniu nowych pracowników, a ich wynagrodzenie uzależnione jest od wniesionego wkładu. Efekt? Co-roczone obroty W. L. Gore Associates przekraczają miliard dolarów (w 2008 r., kiedy bank Lehman Brothers ogłosił swoje bankructwo, osiągnęły aż 2, 1 mld USD!). Nie trzeba chyba dodawać, że W. L. Gore Associates należy do najbardziej pożądaných pracodawców.

Podobnie zresztą, jak i Southwest Airlines, pierwsze na świecie tanie linie lotnicze. Ich współzałożyciel (odchodzący w tym roku na emeryturę) Herb Kelleher znany jest ze swojej słabości do dobrej whisky, dobrych cygar i dobrej zabawy. A także z niekonwencjonalnego poczucia humoru. Kto kiedyś miał okazję lecieć Southwest, mógł zapewne usłyszeć następujący komunikat: „Jeżeli samolot będzie musiał przymusowo lądować na wodzie nie ma co wpadać w panikę – stewardesa natychmiast dostarczy drinki i ręczniki”. Uwielbiany przez pracowników prezes Herb Kelleher dał się również poznać jako człowiek niezłomnych zasad, dla którego „firma jest silniejsza, jeśli jest spajana miłością, a nie strachem”. W jego ustach nie jest to pusty slogan. W dzisiejszym świecie, gdy wiele linii walczy o przetrwanie, Southwest od lat utrzymuje się niezmiennie w dobrej kondycji finansowej. Kiedy po zamachach na World Trade Center 11 września 2001 r., cała branża lotnicza w USA pogrążyła się w głębokim kryzysie, linie Southwest Airlines jako jedyne nie musiały uciekać się do drastycznych cięć budżetowych, zwolnień i pomocy rządowej. Co więcej, Herb Kelleher odrzucił wówczas propozycję pracowników dotyczącą... wstrzymania wypłaty ich własnych wynagrodzeń!

MAKROWIKINOMIA

Laureat nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, Friedrich August von Hayek wyróżnił dwa rodzaje porządków: celowe i spontaniczne. Porządek celowy to taki, który jest efektem świadomego i zorganizowanego działania ludzi (np. działalność rządu). Natomiast porządek spontaniczny (naturalny) jest owocem rozproszonych działań wielu jednostek, które nie są kierowane odgórnie. Do porządków spontanicznych możemy zaliczyć zarówno język, wydeptaną przez nieznające się nawzajem osoby ścieżkę, a także wolny rynek. Taki oddolnie wytworzony ład przynosi zazwyczaj lepsze rezultaty, choćby dlatego, że wykorzystuje potencjał i unikalne zdolności większej liczby ludzi. To właśnie porządkom spontanicznym, dziełom tworzonym przez rozproszonych i samodzielnych pasjonatów, rozsianych po całym świecie poświęcona jest jedna z ciekawszych książek biznesowo-ekonomicznych ostatnich lat – *Makrowikinomia. Reset świata*

i biznesu. Jej autorzy, Don Tapscott i Anthony D. Williams, zapowiadają nadejście nowej epoki – ery inteligencji sieciowej. I twierdzą, że pomimo tego, iż obecnie nadal dominują modele z epoki industrialnej, których charakterystycznymi cechami są biurokracja, tajność i wykorzystywanie potencjału tylko etatowych pracowników, to jednak coraz więcej osób propaguje odmienny model gospodarczy. A jest on oparty na pięciu zasadach makrowikinomii, czyli współpracy, otwartości, wymianie wiedzy, uczciwości i współzależności. Ci nieszablonowo myślący pasjonaci skrzykują się w sieci, by wspólnie tworzyć nowatorskie projekty.

Takim sztandarowym przykładem oddolnej, spontanicznej współpracy jest rozwój wolnego oprogramowania Linux. Kiedy w 1991 r. Louis Torvalds udostępnił w Internecie kod źródłowy nie przypuszczał nawet, że otwiera tym samym nowy etap w branży oprogramowania komputerowego. Dziś Linux używany jest zarówno przez miliony zwykłych ludzi, jak i wielkie korporacje czy instytucje rządowe. A makrowikinomia coraz śmieiej wkracza także w inne dziedziny, m.in. sztukę, medycynę, bankowość i przemysł samochodowy.

KOMU BIJE DZWON...

Szczególne miejsce w kategorii firm, dla których liczy się nie tylko zysk zajmują przedsiębiorstwa rodzinne. - Ich właściciele mają poczucie odpowiedzialności wobec pokoleń, które firmę tworzyły, a także tych, które przyjdą po nich. W obliczu kryzysu zastawiają własny majątek i pracują po dwanaście godzin dziennie przez siedem dni w tygodniu, by firma nie przestała istnieć - podkreśla prof. Andrzej Jacek Blikle, prezes zarządu Stowarzyszenia Inicjatywa Firm Rodzinnych. Te na ogół niewielkie przedsiębiorstwa są motorem napędowym każdej gospodarki. Niestety, w Polsce wciąż napotykają szereg barier. Bezdušność i niekompetencja urzędników, rozbudowany aparat biurokratyczny, niejasne przepisy czy nadmierne obciążenia fiskalne ze strony państwa to tylko niektóre z nich.

Najstarszą firmą rodzinną w Polsce jest Odlewnia Dzwonów Rodziny Felczyńskich. Powstała w 1808 r. i od tego czasu wykonała niezliczoną liczbę dzwonów. Około dwustu zostało poświęconych przez Papieża Jana Pawła II, w tym ten największy – Józef o wadze 11,5 tony. W sumie w ludwisarniach rodziny Felczyńskich wytworzono ponad 10 tysięcy dzwonów. Dokładnej liczby nikt nie jest w stanie podać. Jedno jest jednak pewne: „Wszystkie głoszą Chwałę Bożą” – jak można przeczytać na stronie firmowej.

Marcin Jendrzejczak

Sprawa Korwin-Mikkego a honor

Spoliczkowanie Michała Boniego przez Janusza Korwina Mikkego wywołało nagonkę w licznych mediach. Oburzeniu nie było końca, gdyż czyn Korwina, jakkolwiek symboliczny, był naruszeniem zasady, w myśl której wszelkie spory dotyczące czci powinny być rozstrzygane przez sądy. Taka tendencja prowadzi jednak do zaniku pojęcia honoru i woła o przywrócenie jego chrześcijańskiego rozumienia.

Spoliczkowanie ministra Boniego przez szefa Kongresu Nowej Prawicy doprowadziło do powrotu dyskusji na temat zapomnianego – wydawałoby się – pojęcia honoru. Będący odwetem za niesłuszne zniewagi akt miał miejsce w budynku Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Wywołał on oburzenie lewackich środowisk. – To obrzydliwy akt, nigdy czegoś takiego nie widziałem. Z Korwin-Mikkem powinno się postępować używając wszystkich możliwych instrumentów na gruncie polskiego prawa – powiedział Janusz Zemke z SLD cytowany przez Michała Mańkowskiego na łamach natemat.pl.

Oburzeniem zareagował też tuz liberalnego dziennikarstwa – Tomasz Lis na tym samym portalu. „W tytule (*Spieprzaj dziadu* – red.) posłużyłem się cytatem z Lecha Kaczyńskiego. Dokładnie tak normalni ludzie powinni reagować na widok pana Korwin-Mikkego. Mogą też splunąć. Również zrozumiały. Korwin-Mikke spoliczkował Boniego za to, że ten nazwał go kiedyś idiotą i oszołomem. Tym samym, to plus całej sytuacji, Korwin-Mikke przyznał rację Boniemu, ponieważ pokazał, że jest idiotą i oszołomem. Plus chamem. Czy to chamidło naprawdę myśli, że znajdzie się kiedyś w rządzie? W jakimkolwiek rządzie?” – pisał Lis.

Mikkego potępił także Lech Wałęsa. W rozmowie z Jackiem Nizinkiewiczem w rp.pl wezwał jednocześnie do izolowania go, jak i do odpierania jego argumentów. – Nie rozmawiać z Korwinem-Mikke. Ignorować go. To okaz nie z tej epoki. Jest przykładem złego zachowania. Lepiej trzymać się od niego z daleka, aż sam zrezygnuje, bo wszędzie będzie niemile widziany.

W mediach dziennikarze powinni być przygotowani na rozmowy z nim, żeby niszczyć go intelektualnie – powiedział Wałęsa w wywiadzie dla rp.pl.

Swój czyn Korwin-Mikke uzasadniał kodeksem honorowym. Okazało się jednak, że według najbardziej znanego przedwojennego kodeksu, autorstwa Władysława Boziewicza „wykluczonymi ze społeczności ludzi honorowych są osoby, które dopuściły się pewnego ściśle kodeksem honorowym określonego czynu; a więc indywidua następujące: (...) 2) denuncjant i zdrajca; 16) oszczerca”. W związku z tym czyn Korwina był błędny w świetle zasad honorowych, gdyż niesłusznie przyznawał godność honorową osobie byłego agenta! Przyznał to zresztą *post factum* sam Mikke. Kolejny błąd polityka dotyczył czasu reakcji na obrazę, który okazał się „nieco” dłuższy, niż ten przewidywany przez Boziewicza. Zgodnie z art. 55 Kodeksu „reakcja sekundantów obrażonego powinna nastąpić w ciągu 24, maksimum 48 godzin”.

Oczywiście trudno trzymać się dosłownego rozumienia kodeksu honorowego, który wymagałby wyzwania na pojedynek. Brakuje też osób, które rozumiałyby go dziś w tak dosłowny sposób. Cała sprawa pozwala jednak spojrzeć na kwestię rozumianego współcześnie honoru. Czy możliwe jest stworzenie współczesnego odpowiednika kodeksu Boziewicza? Dostająca odruchu wymiotnego na sam dźwięk słowa „honor” lewica niewątpliwie byłaby przeciwna. Ważniejsze jest jednak pytanie – czy taki kodeks mógłby być zgodny z nauką Kościoła?

PRZECIW POGAŃSKIEMU ROZUMIENIU HONORU

Przez wiele osób pojęcie honoru traktowane jest jako przedchrześcijańskie i niemożliwe do pogodzenia z katolicyzmem. Taką tezę wysuwa m.in. politolog i były europoseł Marek Migalski na łamach swojego bloga. Jego zdaniem „(...) jeśli sięgnąć głębiej, to pierwszym poważnym uderzeniem w pojęcie honoru było chrześcijaństwo. Tak, tak – chrześcijaństwo, które tyle dobra przyniosło Europie i światu, zredefiniowało honor i odebrało mu taki blask, jakim cieszył się on w czasach starożytnych”. Migalski z pewnym żalem opisuje odejście od pojęcia honoru, które rzekomo nastąpiło w erze triumfu chrześcijaństwa. Z nostalgią wspomina o utraconych czasach starożytnych, gdy życie było mniej ważne od zdolności honorowych.

Takiemu rozumowaniu sprzyja rozpowszechniony w progresywistycznych kręgach kościelnych pacyfizm. A przecież chrześcijaństwo nie zwalczało honoru jako takiego, ale jego błędne, „pogańskie” rozumienie. Rozumienie to, wyrażające się choćby w tzw. zabójstwach honorowych, jest tak samo szkodliwe dla cywilizacji jak niehonorowość.

Nie jest to zresztą problem należący wyłącznie do minionych epok. W niektórych krajach muzułmańskich zjawisko to występuje dość często i jest akceptowane przez opinię publiczną. Jak czytamy na pewforum.org, w Bangladeszu tylko 34 proc. odrzuca honorowe zabójstwa w związku z czynami popełnianymi przez kobiety, w Afganistanie jest to 24 proc., a w Pakistanie - 45 proc. Oznacza to, że większość wyznawców Mahometa w tych krajach popiera egzekucje na kobietach łamiących normy seksualne (np. współżycie pozamałżeńskie).

Mordy dokonywane na słabszych są niewątpliwie nie do pogodzenia z chrześcijańskim rozumieniem honoru.

Zasada szacunku dla ludzkiego życia jako daru od Boga doprowadziła Kościół do potępienia pojedynków. IV Sobór Laterański w 1215 r., Sobór Trydencki w 1545 r., a także późniejsi papieże surowo potępiali pojedynki. Groziły za nie surowe kary kościelne. Także rozpowszechnione w Japonii, oraz w przedwojennych armiach europejskich samobójstwa honorowe nie były przez Kościół akceptowane.

CYWILIZACJA NIEBOHATERSKA

Śmiertelny cios samemu pojęciu honoru zadało nie chrześcijaństwo, ale demokracja i kapitalizm. Chociaż niektórzy politycy, jak choćby sam Korwin-Mikke nie widzą sprzeczności między gospodarką rynkową, a tradycyjnie rozumianym honorem, to klasyczni liberałowie byli innego zdania. Jak zauważył Monteskiusz, w społeczeństwie handlowym obyczaje ulegają złagodzeniu, a cnotą jest umiar. Podobne spostrzeżenia miał już w XX wieku ekonomista Joseph Schumpeter. „Cywilizacja kapitalistyczna jest racjonalistyczna i antybohatera. Jedno z drugim oczywiście ściśle się łączy. (...) działalność przemysłowa i handlowa jest zasadniczo niebohatera w rycerskim sensie; nie ma tu żadnego wymachiwania mieczem, nie ma specjalnej fizycznej dzielności, trudno tu o galopy na pokrytym pancerzem rumaku na szyki wroga, najlepiej heretyka lub poganina”, pisał w dziele *Kapitalizm, socjalizm, demokracja* z 1942 r. Kapitalizm przyniósł ludziom dobrobyt, ale działalność na wolnym rynku i klasyczne zasady honoru trudno ze sobą pogodzić.

Podobną rolę odegrała demokracja. Jak zauważył Alexis de Tocqueville w książce *O demokracji w Ameryce*, demokracja przyczyniła się do złagodzenia obyczajów, do „wzrostu współczucia obejmującego wszystkie dziedziny życia”. Na miejsce kodeksów etycznych różnych grup – wśród których był oparty na honorze kodeks arystokratyczny – wkroczyła jednolita moralność przyjęta przez „równych sobie obywateli”. W takim świecie

nie ma już więc miejsca na wybujały honor, gdyż ten „wiązał się z przekonaniem o własnej wyższości i wyjątkowości”.

We współczesnym świecie Zachodu pojęcie honoru praktycznie nie istnieje. Wiąże się to z będącym skutkiem postępów demokracji etatyzmem. Rolę honorowych rozstrzygnięć w „szarej strefie” przejęły sądy – obsługiwane przez armię prawników. Nie jest przypadkiem, że największą armię prawników *per capita* działa w Stanach Zjednoczonych – kraju od swoich początków republikańskim, kapitalistycznym i „praworządnym”. To tam doszło do rozwoju pierwotnych ideałów w kierunku, którego obawiał się Tocqueville – ku łagodnemu despotyzmowi. W tym despotyzmie państwo prowadzi obywateli za rączkę i wyręcza ich potrzeby nie tylko w sferze materialnej. Niczym nadopiekuńcza matka, państwo postliberalne natychmiast reaguje nie tylko w przypadku braków ekonomicznych, lecz także przykrości sprawionej jednemu z obywateli. Tę żalną tendencję zaprezentowało polskie MSZ, które w obronie „biednego” pana Boniego skierowało oskarżenie do prokuratury. Żyjemy w świecie „ludzi bez piersi”.

REMEDIUM – KATOLICKIE ROZUMIENIE HONORU

Co może więc zrobić katolik i konserwatysta? Powrót do potępionych przez Kościół wyrosłych z pogaństwa koncepcji honoru nie jest ani możliwy ani pożądany. Jednak dzisiejsza sytuacja, w której pojęcie honoru praktycznie nie istnieje, również jest – co oczywiste – pożałowania godna.

Remedium stanowi schrystianizowane rozumienie honoru, wykluczające z jednej strony pojedynki czy honorowe samobójstwa, a z drugiej skarcenie się państwu na każdą obrazę i wszystkie czyny niegodne. W ramach myśli katolickiej jest miejsce także na słuszną dumę, na postawę człowieka wielkodusznego, dżentelmena. Chodzi o postawę, o której pisał św. Tomasz – postawę człowieka dumnego w umiarkowany sposób, odważnego, niedbającego o pochlebstwa, szlachetnego nawet wobec wrogów i umiejącego bez skargi znieść trudne warunki życia.

W tej schrystianizowanej koncepcji honoru nie ma miejsca na ucieczkę od świata poprzez samobójstwo. Za swoje błędy trzeba odpokutować, a utratę pozycji społecznej – a nawet czci – znieść z godnością. Ta godność średniowiecznego rycerza postawa to niedościgniony wzór wznoszący się ponad obydwie skrajności: zarówno rozumianego w pogański sposób, bezwzględного honoru, jak i typowego dla współczesnego „człowieka bez właściwości” zniewieścienia.

Jacek Hoga

Samoobrona w teorii, praktyce i możliwości

Prawo do życia od poczęcia do naturalnej śmierci jest oczywiste dla każdego katolika. Robimy wiele, by przekonać doń innych i bronimy go w życiu publicznym. Warto jednak zauważyć, że z prawa do życia logicznie wypływa prawo do jego obrony. Co nieraz musi się wiązać z nastawieniem na życie napastnika. Podjęcie czynnej obrony wymaga jednak przygotowania zarówno moralnego, jak i fizycznego oraz technicznego. Podstawowym problemem dla współcześnie ukształtowanego człowieka jest często w takiej sytuacji poczucie bezradności, wszechogarniający bezwład. Nie spodziewamy się takiej sytuacji, nie jesteśmy na nią gotowi przede wszystkim duchowo. I właśnie na tym poziomie należy rozpocząć odbudowę męskości, tak aby Kościół i nasze rodziny w chwili próby mogli liczyć na swoich naturalnych obrońców.

Już od najmłodszych lat dom, szkoła i katecheza uczą nas, że przemoc nigdy nie jest rozwiązaniem. Na dzieci spadają kary za samo uczeństwo w bójkę, bez wnikania, kto napadł, a kto się bronił. Młodzież uczy się co najmniej niechęci do siły z powodu jej rzekomej bezsensowności i prostactwa. Równie nagminnie co bezmyślnie powtarza się *bon moty* typu: *spirala nienawiści* czy też *przemoc rodzi przemoc* i *kto mieczem wojuje, od miecza ginie*. Zdania te, aczkolwiek prawdziwe, wyrwane z kontekstu i błędnie interpretowane prowadzą do błędnych wniosków i błędnych postaw życiowych oraz, niestety, również do realnych tragedii.

Spójrzmy z bliska na sens tych sformułowań. Z pewnością jeśli silny młody człowiek, wracając z pracy do domu, zobaczy bitą przez trzech napastników kobietę i zareaguje zgodnie ze swym moralnym obowiązkiem, jego odpowiedzią na nielegalną przemoc będzie przemoc. Czy jednak ktośkolwiek przy zdrowych zmysłach uczyni mu z tego zarzut? A czy hańbiąca lub niemoralna jest śmierć policjanta na służbie wskutek postrzału (współczesnym wszak odpowiednikiem miecza jest pistolet)? Podobnie jest ze spiralą zła. Odpowiedzią na nienawiść nie musi być nienawiść. Nawet w walce nienawiść nie jest siostrą syjamską przemocy – choć może się

pojawić, to przecież wcale nie musi. Czy ktokolwiek w naszej katolickiej kulturze nawołuje do nienawiści względem kogokolwiek: wroga, konkurenta, przeciwnika czy nawet przestępcy? Czy ksiądz nienawidzi grzesznika, sędzieja podejrzanego albo kat skazańca?

MORALNY OBOWIĄZEK

Pod wpływem więc błędnego wychowania nie wiemy, jak się zachować; nie wiemy, jakie zachowanie jest godziwe. Miotani wątpliwościami oddajemy kontrolę nad przebiegiem sytuacji całkowicie w ręce przestępcy. Jest to nie tylko błąd taktyczny, w wyniku którego ryzykujemy życie swoje i innych, ale przede wszystkim – błąd moralny. Zawiniony brak prawidłowego ukształtowania sumienia.

Dobrze jest więc rozważyć taką potencjalną sytuację, aby w chwili zagrożenia nie obezwładniały nas wątpliwości natury moralnej. Pod uwagę należy wziąć godziwość naszych reakcji, obowiązki stanu oraz praktyczną stronę danego zdarzenia. Po pierwsze, należy poszukiwać godziwych moralnie wyjść z sytuacji. Następnie, mieć świadomość, jakie działania musimy podjąć ze względu na obowiązki stanu. I wreszcie wiedzieć, jak je wprowadzić w życie.

Nie zawsze musimy podejmować czynną obronę. Możemy, na przykład, pozwolić się okraść czy dać się spoliczkować. Możemy uciekać, nie jest to grzechem. Jednak czy napadnięty magazynier w składzie broni może bez obaw moralnych i bez walki oddać w ręce bandytów broń i amunicję? Czy wolno nam przejść obojętnie obok napadniętej kobiety lub rzucić się do ucieczki, wiedząc, że osoba towarzysząca nam ze względów praktycznych (na przykład wieku czy zdrowia) uciekać nie jest w stanie? Kwestia, jak się obronić, zajmuje w tym porządku miejsce końcowe jako zagadnienie wyłącznie techniczne. Albowiem jeśli wiąże nas moralny obowiązek, tylko absolutny brak możliwości obrony usprawiedliwia niepodjęcie jej. Brak obiektywny i niezawiniony. Ponieważ każdy ma obowiązek obrony życia wynikający z danego przez Boga prawa do życia. Na katolickim mężczyźnie natomiast spoczywa obowiązek, w zgodzie z jego stanem, obrony życia nie tylko własnego, ale i jego bliskich oraz tych wszystkich, których Bóg postawi na jego drodze.

W dzisiejszej rzeczywistości prawnej środki służące do samoobrony są w znaczącej mierze zakazane bądź też w przypadku niektórych, pomimo ich legalności, policja i prokuratura podważa prawo do ich posiadania bądź użycia w celu obrony. Ponownie więc stajemy przede wszystkim przed dylematem moralnym.

Zagadnieniem kluczowym jest godziwość użycia środków legalnych, które niestety są podważane przez policję, pracowników prokuratury

i (rzadziej) sądy powszechne. Celem naszego życia nie jest przejść je gładko i wygodnie. Nie mamy prawa szukać rozwiązań wygodnych – naszym obowiązkiem jest szukanie rozwiązań godziwych. Tak więc, argumentem przeciwko użyciu danego środka nie może być obawa, że później słuszność jego zastosowania będą badały stosowne urzędy. Do tego zostały powołane i to jest ich obowiązkiem. Nieprzyjemności z tym związane nie mogą stanowić argumentu wystarczającego do powstrzymania się przed obroną konieczną. Ponieważ ta, jak sama nazwa wskazuje, jest słuszna i godziwa.

Narzędzia mogące nam pomóc w obronie życia i mienia, jakimi możemy legalnie dysponować, dzielą się na dwie grupy: urządzenia gwarantujące skuteczność przy bardzo prawdopodobnym skutku ubocznym w postaci śmierci napastnika oraz środki dające blisko stuprocentową pewność braku trwałych uszkodzeń ciała napastnika z ryzykiem nieskuteczności obrony. I choć drugiego typu nie powinno się właściwie brać pod uwagę ze względu na zbyt małą skuteczność, to jednak z powodu większej troski o życie napastnika niż osób nam powierzonych, nader często osoby szukające sposobu zwiększenia bezpieczeństwa poważnie rozważają właśnie ten drugi.

Pierwszy typ ogranicza się do różnego rodzaju pałek teleskopowych i noży przeznaczonych do walki, ponieważ broń palna do celów ochrony osobistej jest w Polsce w praktyce niedostępna dla zwykłego obywatela z przyczyn pozamerytorycznych. Choć przedmioty tu wymienione powszechnie kojarzą się z bandytami, to jednak w codziennej rzeczywistości (realnej, nie medialnej) bywają używane znacznie częściej do obrony przed napadem niż do celów przestępczych. Tego typu przedłużenie ręki jest właściwie jedynym legalnie dostępnym środkiem zdolnym do powstrzymania napaści podjętej przez więcej niż jedną osobę. Często do powstrzymania agresji wystarcza sama groźba użycia takiego środka samoobrony.

Niestety, poważną wadą tych środków obrony jest konieczność podjęcia bezpośredniej, gwałtownej walki wręcz z napastnikiem, co dla większości osób jest decyzją bardzo trudną.

Spśród urządzeń drugiego typu najpowszechniejsze są paralizatory, gazy pieprzowe i broń hukowa na kule gumowe. Każde z tych urządzeń w typowej sytuacji nie stwarza większego zagrożenia dla zdrowia i życia napastnika, może natomiast, pod pewnymi warunkami, powstrzymać napaść.

Paralizatory powodują bezwolny skurcz mięśni i ból, ba, sam widok wyładowania elektrycznego ma duże właściwości uspokajające. Istotną jednak wadą takiego rozwiązania jest konieczność bezpośredniego dotknięcia napastnika urządzeniem trzymanym w ręku, jednak w przypadku bardzo drogich modeli istnieje możliwość obezwładnienia jednej osoby na większą odległość – do około czterech metrów.

Gazy pieprzowe są rozwiązaniem stosunkowo najczęściej wybieranym. Zapewniają obezwładnienie nawet na ponad trzydzieści minut, umożliwiając przy tym atak na całą grupę napastników. Nie powodując trwałych uszkodzeń, nie niosą ze sobą tak dużej odpowiedzialności moralnej za niewłaściwe użycie. Warto wybierać modele o dużym stężeniu czynnika aktywnego i zasięgu rzeczywistym ponad dwa metry. Przy ich wyborze należy jednak pamiętać, że przeciwnik o silnej psychice lub znajdujący się pod wpływem środków odurzających może być mało podatny na ich działanie.

Na koniec wspomnijmy o broni hukowej na kule gumowe – nie bez przyczyny, ponieważ oddziałuje ona tylko psychicznie. Napastnik widzi błysk, słyszy huk wystrzału i odczuwa ból trafienia kulą. Choć najczęściej powoduje to spory strach, ponieważ narzędzie wygląda jak broń prawdziwa palna (zatem zwłaszcza pod wpływem stresu łatwo je z nią pomylić), to jednak żaden z jego efektów nie jest w stanie powstrzymać osoby zdeterminowanej.

Wielkim nieobecnym w tym zestawieniu jest broń czarnoprochowa. Bynajmniej nie z braku skuteczności, ta bowiem jest nadzwyczajna. Po prostu, broń ta – choć celna i skuteczna – jest powolna w ładowaniu i z tego powodu nie nadaje się do odparcia niespodziewanej napaści.

Pozostają jeszcze środki równie skuteczne, co dostępne. Idealnym narzędziem samoobrony jest długa broń biała, czyli lekka szabla bądź szpada. Są to wszak przedmioty skonstruowane z jedną tylko myślą przewodnią – jako wygodna broń cywilna. Ich użycie jednak wymaga pewnej wiedzy i praktyki. Ponadto, współcześnie nie są one akceptowane kulturowo i dlatego nie bierzemy ich pod uwagę, choć autorowi znane są przypadki skutecznego ich użycia – właśnie dziś – w samoobronie.

NIE WYSTARCZY NARZEKAĆ

Jak zatem widać, możliwe do zastosowania środki są albo zbyt mało skuteczne, albo całkowicie nieprzystające do współczesnej techniki obrony. Tymczasem w krajach – niestety dziś już bardzo nielicznych – gdzie wciąż szanuje się prawo do obrony życia i mienia, najskuteczniejszą obroną w przypadku niespodziewanej napaści jest nowoczesny pistolet samopowtarzalny lub rewolwer. I choć ten ostatni ma swych zagorzałych zwolenników oraz zalety (jak chociażby intuicyjność obsługi), to jednak wydaje się, że współczesny pistolet słusznie zdominował rynek narzędzi samoobrony. Łatwiejszy w skrytym przenoszeniu z większą ilością amunicji jeszcze długo pozostanie hegemonem.

Spośród licznych typów dostępnych na polskim rynku dobrym wyborem – w sytuacji powszechniejszego dostępu do broni – byłby pistolet kalibru 9×19 lub rewolwer kalibru 38 Special.

Krótką broń palna daje nam sporą siłę obalającą, pewność działania i łatwość przenoszenia, a także dużą odporność na błędy człowieka dzięki intuicyjnej obsłudze. Przy jej pomocy starzec może się obronić przed całą grupą napastników. Jest też o tyle wygodna, że można ją nosić bez odczuwania uciążliwości, a zarazem na tyle skuteczna, by jej używać do obrony domu. Jest więc współcześnie najwygodniejszym narzędziem do obrony.

Stosunkowo rzadko w naszym życiu bywamy wystawieni na duże zagrożenie, stąd też nie potrzebujemy wyposażenia porównywalnego do tego, jakie nosi żołnierz piechoty na polu bitwy. Niemniej jednak, jak pokazuje doświadczenie ze Stanów Zjednoczonych, najlepszą bronią do obrony domu są karabinki samopowtarzalne. Duża pojemność magazynka rozwiązuje problem ponownego ładowania broni, natomiast mały odrzut i długa linia celowania ułatwiają sprawne użycie broni w warunkach stresu nawet kobietom drobnej postury.

Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia politycy obiecywali nam ułatwiony tryb uzyskiwania pozwoleń na strzelbę do obrony domu. Jak zwykle były to z ich strony ordynarne kłamstwa. Jednakże te fałszywe obietnice zostały złożone ze względu na realnie odczuwaną przez wielu Polaków potrzebę obrony własnego domu przed napaścią. I choć strzelba nie wydaje się najlepszym wyborem do tego celu, to jednak ze względu na swą uniwersalność i małą celność na większe dystanse byłaby dobrym kompromisem. Obywatele mieliby broń do obrony życia i mienia, a urzędnicy mogliby się oswoić z kolejną po wiatrówkach i broni czarnopochowej bronią lub jej namiastką dostępną legalnie dla praworządnych obywateli.

Pierwszą i najbardziej potrzebną zmianą jest przemiana serc. Poczucia bezradności i obojętności na obserwowane bezprawie nie da się usprawiedliwić za pomocą narzekania na nieudolność służb. To my możemy zwiększyć bezpieczeństwo na naszych ulicach. Nie poprzez samosądy, lecz przez poczucie męskiej odpowiedzialności za innych, dla których możemy być w tej konkretnej sytuacji jedynym ratunkiem. Dla dobra ogółu dobrze jest, by byli pośród nas ludzie obcy z bronią i mający ją cały czas przy boku.

Magdalena Żuraw

Papież ubiera się u Gammarellego

Zakończyło się konklawe, podczas którego wybrany został 266. z kolei papież. Na tę chwilę uszyto dla Ojca Świętego trzy sutanny w różnych rozmiarach. Na balkonie Bazyliki Świętego Piotra nowy biskup Rzymu pojawił się w szatach z pracowni Gammarelli.

Od przeszło dwustu lat strojami dla kolejnych papieży zajmuje się ta sama, niewielka pracownia znajdująca się obok Panteonu – zakład krawiecki Gammarelli. Założony w 1798 r. – za pontyfikatu papieża Piusa VI – przez Giovanniego Antonio Gammarellego (który rozpoczął swoją działalność jako krawiec rzymskiego duchowieństwa), od początku działalności cieszył się dużym prestiżem. Prowadzony przez kolejne pokolenia – w pierw przez syna Filippo, a następnie przez Annibale (który w 1874 roku przeniósł sklep do budynku Papieskiej Akademii Kościelnej) – obsługiwany jest obecnie przez szóstą generację rodu.

Po śmierci Annibale jego synowie Bonaventura i Giuseppe postanowili zachować nazwę Ditta Annibale Gammarelli, jako hołd dla ich ojca. I właśnie pod tą nazwą pracownia krawiecka funkcjonuje do dziś, ubierając od stóp do głów kolejnych biskupów Rzymu. Sam zaś sklep w 2000 roku został ujęty w miejskim wykazie zabytkowych sklepów, będąc prawdopodobnie najstarszym w stolicy Włoch nieprzerwanie zarządzanym przez bezpośrednich potomków założyciela.

CAMAURO I INNE DODATKI DO PAPIESKIEGO STROJU

Krawcy papieży mieli nieraz nie lada problem, np. gdy Głowa Kościoła postanawiała zakupić odpowiednie nakrycie dla własnej. Najlepiej takie, jakim przyodziany był poprzednik parę stuleci wstecz, a które uwiecznił na płótnie pędzel watykańskiego malarza.

W Ditta Annibale Gammarelli krąży anegdota o tym, jak właściciel pracowni został niegdyś wezwany przez papieża Jana XXIII do Watykanu, gdzie od następcy świętego Piotra usłyszał: „Gammarelli, chciałbym *camauro*”.

Zaskoczony miał odpowiedzieć: „oczywiście, zrobimy natychmiast”. I choć miał bardzo mgliste pojęcie cóż to takiego, zaczął szperać w starych encyklopediach, oglądać obrazy i szukać specjalistów, którzy będą w stanie spełnić pragnienie Jana XXIII i rzecz uszyć.

Camauro – papieskie nakrycie głowy szeroko stosowane w okresie renesansu, które z czasem wyszło z użycia – wykonane było z aksamitu, obszyte futrem gronostajów (o czym świadczą liczne portrety papieży).

Po konsultacjach Gammarelli stwierdził, że z graficznego, a co za tym idzie również projektowego punktu widzenia *camauro* zostało bardzo dobrze udokumentowane, ale nadal borykał się z zagadką, jak je zrobić i kto może mu w tym pomóc. Problem został jednak szybko rozwiązany – znaleziono wykwalifikowanych „camaurystów” i aksamit odpowiednio czerwonego koloru. Podobne *camauro* zostało uszyte dla Benedykta XVI do noszenia w okresie Wielkanocy, ale już nie z czerwonego aksamitu, a białego adamaszku.

Wśród nakryć głowy, jakie noszą papieże, znajdziemy parę innych, bardziej znanych od *camauro*. Najbardziej popularnym jest piuska – nakładana na czubek głowy mała, okrągła, biała czapeczka. Mogą ją nosić również kardynałowie (w kolorze czerwonym), biskupi (fioletową) oraz niektóre zakony, np. benedyktyni i cystersi.

Są również nakrycia noszone w konkretnych momentach liturgii. Gdy przykładowo papież – podobnie zresztą jak biskup czy kardynałowie – podchodzi i odchodzi od ołtarza lub udziela błogosławieństwa. Wówczas na jego głowie widzimy infulę, która składa się z dwóch złączonych ze sobą sztywnych tarcz, przedniej i tylnej oraz dwóch zwisających z tyłu wstęg. Do czasów Pawła VI papieże podczas wyjątkowych uroczystości kościelnych nosili również inne nakrycie głowy – tiarę. Jak piszą znawcy tematu: „W VIII i IX wieku, miała ona formę wysokiej, białej czapki zwieńczonej krzyżem, ze zwisającymi z tyłu dwiema wstęgami”. Używana przestała być w 1963 r.

STROJE PAPIEŻA

Garderobą każdego papieża zajmuje się jego osobisty kamerdyner. To do niego należy zadanie wybierania odpowiednich strojów, a przewodnią zasadą zawsze jest myśl, że ubranie papieża ma być przede wszystkim białe i należycie dostosowane do pogody.

Jak zaś wygląda garderoba papieska? Jej podstawą jest zawsze sutanna, czyli najzwyczajniejszy strój każdego duchownego. Sutanna, jak wiemy, to długa do kostek suknia, wzorowana na antycznej szacie spodniej – tunice z długimi rękawami. Papież ubiera sutanny białe, zwykły ksiądz czarne, a w teorii biskup powinien nosić sutannę fioletową, zaś kardynał czerwoną.

W praktyce wygląda to nieco inaczej – najczęściej widzimy ich w czarnych sutannach, a o stopniu zajmowanym przez dostojników w hierarchii kościelnej świadczą kolory guzików i pasa.

Na sutannę niekiedy wszyscy duchowni, również papież, zakładają albę – białą szatę o długich, dość szerokich rękawach, sięgającą do kostek. Mogą to uczynić wyłącznie wtedy, gdy uzupełni ją stuła, ornat czy dalmatyka. Jeśli zaś nie – mogą założyć komżę, krótszą wersję alby.

Stuła, przypomnijmy, jest elementem stroju liturgicznego w kształcie wstęgi czy szarfy, którą papież zakłada na szyję, zaś dalmatyka – długą, szeroką, nieprzepasaną szatą, o krótkich i szerokich rękawach, która z czasem (dla łatwiejszego jej nakładania) została przecięta z obydwu boków, łącznie z rękawami. W starożytności dalmatyka była koloru białego z czerwonymi, pionowymi pasami, natomiast od XVIII w. jej kolor zaczęto dostosowywać do koloru ornatu...

Podczas liturgii papież ubrany jest w ornat – wykonany z kosztownej i bogato haftowanej tkaniny. Z racji swojego kształtu wkłada ją przez głowę. Kiedyś ornaty sięgały aż do stóp kapłana, dziś są w kształcie wydłużonego prostokąta z krótkimi zaokrąglonymi bokami. W tej postaci istnieją od XVI wieku, zaś od XIII występują w różnych kolorach zależnych od okresu roku liturgicznego. Co ciekawe: ta szata liturgiczna powstała w pierwszych wiekach chrześcijaństwa w płaszczu rzymskiego.

DODATKI I BIŻUTERIA

Papieże posiadają również niezbędne „akcesoria”, dodatki a nawet biżuterię. Wśród nich pastorał, paliusz, pektorał, pierścień.

Pastorał, który oznacza władzę pasterską, jest dużą laską, zakrzywioną u góry, nawiązującą w swej symbolice do kija pasterskiego (stąd też pochodzi jego nazwa), czyli papieża czuwającego nad owczarnią. Pastorałem następcą św. Piotra podpiera się, idąc w procesji do i od ołtarza, udzielając błogosławieństwa, słuchając Ewangelii oraz wygłaszając kazanie.

Wąski biały pas, jaki widzimy nałożony na ramiona papieża celebrującego Mszę to paliusz, zaś ozdobny krzyż wykonany najczęściej ze złota, a czasami zawierający relikwie, który widnieje przypięty do piersi i jest otoczony łańcuszkiem zawieszonym na szyi to pektorał. Noszony zresztą przez papieży, opatów, biskupów i kardynałów od XII wieku.

Na palcu każdego papieża (i biskupa) zobaczyć możemy kolejne insygnium władzy – pierścień z wygrawerowanym herbem papieskim – oznaczające więź biskupa z kierowanym przez niego Kościołem. Gdy papież umiera lub – jak Benedykt XVI – abdykuje, pierścień jest topiony a złotnicy

wykonują nowy odlew, na który nanoszą herb wybrany przez kolejnego następcę na Tronie Piotrowym.

Do oznaczania niektórych dokumentów papieskich służy zaś dziś tzw. pierścień rybaka (przedstawiającego św. Piotra w łodzi, zarzucającego sieć) czyli pieczęć sygnetowa papieży. Została wprowadzona w drugiej połowie XIII wieku i używana była niegdyś do sygnowania osobistej korespondencji.

Gotowe szaty w trzech potencjalnych rozmiarach czekają na nowego papieża. Jakiej postawy, jakiego wzrostu będzie? Zobaczymy. Z pewnością pracownicy Ditta Annibale Gammarelli będą mieli ręce pełne roboty. Dlatego też spore emocje towarzyszą dziś nie tylko wiernym, duchownym czy kardynałom oczekującym na konklawe. W zakładzie krawieckim panuje nie mniejsze podniecenie.

Do chwili przeniesienia gotowych szat do Watykanu można je jeszcze oglądać na wystawie najpopularniejszego papieskiego sklepu z ubraniami w Rzymie przy ulicy Santa Chiara 34.

Magdalena Żuraw

„Strój biedoty” czy garnitur?

Moda męska. Już samo sformułowanie przyprawia nas, kobiety, o lekki dreszcz zgrozy. Jednak fakt jej istnienia nie może dziwić. To w końcu dla nas mężczyźni od wieków stroją się w różne fatalaszki – by zdobyć i zainteresowanie, i poklask, i przychyłność, i nas same. W jakiej kondycji jest zatem współczesna moda męska? Oj, nieciekawej...

Prawdziwego mężczyznę kobieta co prawda rozpozna bezbłędnie w każdym stroju (a prawdziwy mężczyzna nie założy stroju niemęskiego), jednak coraz więcej panów gubi się w tym, co męskie, a co nie. Dlatego też coraz częściej szerokim łukiem omijamy trzydziestoletnich chłopców bawiących się w subkulturę i stawiamy na normalność. I choć normalnością dla jednych pań jest garnitur, dla innych zaś dzinsy i sweter, zasada jest prosta: facet ma wyglądać jak facet.

TROCĘ HISTORII

„W różnych stadiach rozwoju człowiek wprowadzał do swego ubioru kolejne innowacje, wymuszane koniecznością przystosowania się do nowych warunków. W ewolucji ubioru można wyróżnić trzy zasadnicze fazy” – pisze Francois Voucher w *Historii Mody*:

- Od starożytności do XIV wieku,
- od XIV wieku do pierwszej połowy wieku XIX, oraz
- od drugiej połowy XIX wieku do dziś.

I tak, wraz z początkiem szybkiego rozwoju przemysłowego ubiór zaczął nabierać charakteru narodowego i bardziej osobistego. Wtedy też, zdaniem specjalistów w tej dziedzinie, zrodziła się moda we współczesnym znaczeniu tego słowa. O ile zatem w dwóch poprzednich okresach ubiór związany był ściśle z religijnością, moralnością i wyznawanymi wartościami, wraz z wiekiem XIX zaczął dopasowywać się bardziej do warunków politycznych i gospodarczych.

Do XIX stulecia zatem każdy naród tworzył swój własny typ ubioru, a jednostka dopasowywała go do własnych potrzeb. Główną cechą fazy

trzeciej jest zaś – na odwrót – upowszechnienie ubioru coraz mniej osobistego, a coraz bardziej międzynarodowego, związanego z „mechanizacją produkcji konfekcji oraz z europejskim ekspansjonizmem w sferze mody”.

Ubiór (a później również modę) determinują od zarania dziejów te same czynniki. „Najpierw o charakterze sakralnym i mistycznym, później związanych z dążeniem do duchowej lub społecznej emancypacji, wreszcie natury ekonomicznej”.

Zatem wraz z nastaniem *Belle Époque* męski ubiór stał się bardziej surowy. Jedynym finezyjnym elementem był krawat, marynarka zaczęła być powszechnie używana po 1870 r., garnitur zaś triumfował od 1875 r. – nie będąc jednak uważanym za strój wyjściowy. Na uroczystości czy wizyty, które odbywały się w ciągu dnia, panowie zakładali na siebie żakiet lub redingot. Strojem wieczorowym pozostawał frak z połami (jego miejsce od 1880 r. zajmował powoli smoking dinner-jacket, wymyślony przez graczy karcianych, dla których noszenie fraka przez cały wieczór stało się zbyt męczące).

Boom na strój sportowy – tak dziś popularny – rozpoczął się pod koniec XIX wieku, wraz ze wzrostem popularności jazdy rowerowej, zaś całemu zjawisku kreowania nowych stylów światowych patronowały niezmiennie dwa ośrodki: Francja i Anglia.

W epoce późnowiktoriańskiej moda na wiejskie życie skłaniała do noszenia ubrań tweedowych ze spodniami zdobionymi szerokim lampasem oraz garnituru. Sportową marynarkę w kratkę (*Norfolk*) wprowadził do powszechnego użytku książę Walii, późniejszy król Edward VII.

Co ciekawe: trend na zaprasowany kant nogawki wszedł na rynek w 1895 roku, zaś rozparek w spodniach wprowadzono dopiero w 1911/12 roku.

Od początku XIX wieku w męskim ubiorze zmieniały się tak naprawdę jedynie detale. Mężczyźni zaczęli wieść coraz bardziej aktywne życie, co wymuszało dostosowanie stroju do potrzeb.

Gruntowna transformacja ubioru męskiego zaczęła się po I wojnie światowej, gdy zmieniła się zarówno gospodarka, jak i warunki życia. Zresztą w całym XX wieku moda męska przechodziła najróżniejsze okresy – w tym istny przewrót w latach bezpośrednio po II wojnie światowej. Do tej pory tworzona wyłącznie dla dorosłych, zaczęła dopasowywać się do młodzieży. I wtedy również Stany Zjednoczone zaczęły mieć więcej do powiedzenia w zakresie mody niż Europa.

Amerykańskie dzieci bowiem (które nie odczuły finansowych skutków wojny, nie znały ubóstwa, jakie panowało w powojennej Europie, wychowane w dobrobycie i spokoju, gardząc konsumpcją i wygodnym życiem)

przyswoiły sobie ubiór biedoty – dzinsy, koszule bez krawata, bluzy (to, co dziś nosimy wszyscy).

Od tamtej pory niemalże na całym świecie dawne stroje regionalne zaczęły ustępować miejsca ubraniom typu zachodniego. Zaczęły rodzić się również subkultury, „dzikie” mody, mające wyrażać młodzieżowy bunt, „dzieci kwiaty”, „punkki”.

Dziś obserwujemy z kolei konsekwencje zjawiska „antymody” czy „mody ulicznej”, a nasi panowie, niestety, coraz częściej wracają do strojów subkulturowych.

CO DLA KOBIECY ZNACZY „MĘSKO”

My, kobiety, nie lubimy przesady. A dla kogo, jak nie dla nas, Panowie, w ogóle się zastanawiacie, co założyć? Gdyby nie my wystarczyłoby Wam to, co praktyczne. Bez żadnych zdobień i dodatków. Ale Wy chcecie nam imponować i na tej płaszczyźnie. Dlatego pamiętajcie: ma być po prostu męsko.

Projektanci ubrań na całym świecie prześcigają się w wymyślaniu coraz to nowych fatalasek, mających wyłudzić od populacji jak największą ilość pieniędzy. I cudują – to gumowy płaszcz z obrazów znanych malarzy, to kapelusz w kształcie statku, to spódnice moro dla panów, to znowu męskie staniki.

Wraz ze strojami idą fryzury. A te, w połączeniu z kolejnymi twórcami pseudoartystów z branży, ochoczo przez panów zakładanymi, potrafią przerazić, bo z mężczyzn robią niepodobne do mężczyzn atrapy.

Przez wieki moda męska ewoluowała, przyjmując najdziwniejsze formy – w okresie baroku mieliśmy wycacanych panów w perukach i w pełnym makijażu. I tacy robili furorę wśród pań i na salonach. Długie białe skarpetki, obcisłe pantalone. Nie ma co się zatem dziwić, że i dziś dziwnie ubrani mężczyźni chodzą po ulicach.

Różnica może jest jedna – panowie w pantalonach i perukach nie byli, mimo wszystko, zniewieściali. Dziś możemy obserwować facetów w „rurkach”, z za długimi włosami i grzywką zaczesaną na bok, która non stop wpada im w oczy i którą muszą gestem Adonisa odrzucać na boki.

Pamiętacie może piosenkę Pauli Cole *Where have all the cowboys gone?*

My, kobiety, chcemy Johnów Wayne’ów, chcemy Jamesów Bondów, poruczników Columbo nawet, chcemy „synów prerii”, mężczyzn z dawnej reklamy papierosów Marlboro, a przede wszystkim – panów pod krawatem w kościele!

Czasy się bowiem zmieniły, ale oczekiwania kobiet są nadal takie same: zadbanej mężczyźna może mieć trzydniowy zarost; najbardziej gładko wygolony łaluś jest odpychający. Mężczyźna może mieć garnitur (od wieków

przecież wszelkie mundury nas pociągają), ale nie garnitur projektowany przez wygłodniałego homoseksualistę. Uwielbiamy męskość. I dlatego też, Mężczyzno, ostatnia rada: nigdy nie dyskutuj z nami o modzie. Rozmowy o fasonach, stylach, materiałach pozostaw nam – my to lubimy.

Dla kobiety w mężczyźnie liczy się męskość. Tak zostałyśmy zaprojektowane przez Stwórcę i taką mamy naturę, że na ojców naszych dzieci nie wybieramy mydlikowatych panów wyglądających jak klasyczny pederasta.

A na męskość we współczesnej modzie nie ma jednej konkretnej recepty. Dla jednych pań będzie to garnitur, dla innych typ stroju „dawnej biedoty”. Ale na pewno nie będzie nim facet w rurkach z koszulką w durne napisy lub z obrazkami przedstawiającymi dziwaczne animki.

Ograniczmy się zatem do dwóch prostych i podszytych stereotypem stwierdzeń:

Mężczyzna w garniturze – to mężczyzna z klasą.

Mężczyzna w dżinsach – to mężczyzna z charakterem.

Metroseksualne twory – to metroseksualne twory i to ich zdmuchnie populacja prawdziwych mężczyzn!

Arkadiusz Stelmach

W obronie garnituru – stroju współczesnego dżentelmena

Na naszych oczach w przeszłość odchodzi sympatyczny element codzienności, jakim jest garnitur. Widać to na przykładzie coraz częstszych spotkań, nawet na najwyższym szczeblu polityków czy biznesmenów. Co raz częściej rezygnują z garnituru przedstawiciele wysokiej arystokracji. Trend ten widać także na ulicach oraz, niestety, podczas uroczystych nabożeństw w kościołach. Może ktoś powie, że to nic, że jak nie garnitur, to będzie coś innego.

A jednak czy dla mężczyzny z naszego kręgu cywilizacyjnego istnieje jeszcze prócz garnituru jakiś inny strój godny i reprezentacyjny? Czy mamy jakieś inne odzienie, które odzwierciedlałoby choć trochę to, czego Zachód dokonał w dziedzinie udoskonalenia i uwznioślenia kultury codziennej, przepajając zwyczajne życie porządkiem, umiarem, schłodnością, elegancją, a zarazem praktycznością, a ostatecznie duchem zakorzenionym w Ewangelii? Oczywiście istnieje tylko garnitur! Jest on bowiem dla dżentelmena tym, czym habit dla mnicha, sutanna dla księdza czy mundur dla żołnierza!

Dziś coraz częściej widać, że strój ten jest atakowany, że próbuje się od niego odejść. To, iż być może jego dni są policzone, napawa wielkim smutkiem, bowiem na horyzoncie świata mody nie pojawia się nic, co mogłoby ten strój – relikwiarz wspaniałej *Belle Époque* – zastąpić! Nie ma niczego równie godnego, co tak dobrze nawiązywałoby do zachodniej dobrej tradycji eleganckiego stroju dżentelmena. Gdybyśmy mieli do czynienia z próbą powrotu do zwyczajów i mód jeszcze dawniejszych, jak np. surdut czy frak nie mówiąc już o np. kontuszu, można by tylko przyklasnąć, ale w dzisiejszych tak przesiąkniętych egalitarnym nieporządkiem czasach pomysł powrotu do owych strojów najpewniej wzbudza w czytelnikach sarkastyczny uśmiech. I słusznie, bowiem cały kontekst kultury i współczesnego obyczaju pasuje do owych dawniejszych form jak przysłowiowy kwiatek do kufajki. Niestety nie widać tu niczego godnego uwagi.

Lansowane zaś są stroje wywodzące się raczej ze świata sportu lub z ulicznych – często amerykańskich subkultur – a nierzadko z amerykańskiego marginesu społecznego. Tragizm tego stanu rzeczy ukazują do prawdy żenujące i niezwykle smutne wypadki, kiedy to umiera mężczyzna, który w swoim życiu w garniturze nigdy nie chodził i nawet takiego nie posiadał. Niestety łatwo to sobie wyobrazić, bowiem jeśli mężczyzna np. nie zdał matury, nie poszedł na studia wyższe, gdzie (przynajmniej tak było jeszcze do niedawna) na egzaminie należało pojawić się w garniturze, jeśli wreszcie nie miał ślubu, a tylko rozpoczął (bez „zbędnych ceregieli”) życie z konkubiną zwaną dziś dla niepoznaki partnerką, to niestety może się zdarzyć, że i na pogrzeb w jego szafie garnituru się nie znajdzie. Bardzo to wymowne i smutne.

W cywilizacji chrześcijańskiej bowiem każdy stan społeczny wypracował dla siebie jakiś rodzaj stroju odświętnego, eleganckiego. Nawet ubodzy chłopcy jeszcze 100 lat temu pięknem swych strojów mogli zachwycać nawet koronowane głowy! Wystarczy wspomnieć o chłopskich strojach regionalnych. To samo dotyczyło się mieszczan, duchownych, nie mówiąc już o szlachcie i arystokracji.

Ubóstwiająca równość kultura współczesna, której ideałem jest egalitarne społeczeństwo bezklasowe, coraz bardziej zaciera te piękne i dobre różnice pomiędzy ludźmi. Ich efektem jest świat bezbarwny i monotony. W tej monotonii jednak mamy jeszcze pewne elementy będące bladym odbiciem wielobarwnej rzeczywistości, która odeszła zasadniczo wraz z końcem *Belle Epoque*. Tym właśnie bladym odbiciem w przypadku stroju męskiego jest garnitur. Dlatego właśnie warto go bronić i napisać o nim parę ciepłych słów.

Charakterystyczne jest, że niechęć czy nawet otwartą wrogość do garnituru charakteryzuje nieomal wszystkich rewolucjonistów: zarówno tych spod znaku liberalno-demokratycznego, jak i tych spod znaku socjalno-zamordystycznego. Pierwsi hołdują bylejakości i chaosowi, którego najskrajniejszym przejawem jest brudny i śmierdzący styl *punk*, drudzy zaś na ogół tworzą wariacje na temat mrocznego, faszystowskiego munduru i skórzanego płaszcza.

Garnitur to marynarka z klapami oraz spodnie, czasami także kamizelka. Do tego oczywiście koszula oraz krawat, na nogach zaś buty ze skóry (nie ekologicznej), na głowie czapka, a najlepiej kapelusz. Oto strój, w którym jeszcze na szczęście może spokojnie wyjść na ulicę każdy przyzwoity mężczyzna. Z pozoru moglibyśmy powiedzieć, że to rodzaj uniformu dla mężczyzny i z tego powodu odrzucić go jako ograniczający męską wolność i kreatywność. To jednak tylko po części prawda, bowiem jak już to wspomniano, obecnie nie ma wobec garnituru lepszej alternatywy, a on sam daje

wbrew pozorom całkiem dużo możliwości ekspresji typowych dla każdego z nas cech.

Świetnie pokazuje to podejście do szycia garnituru pewnej brytyjskiej niezwykle elitarnej firmy krawieckiej. Otóż kiedy mężczyzna zgłasza się do niej, by zamówić dla siebie garnitur, specjaliści najpierw ustalają rozmaite szczegóły. Pytają o wiek, zajmowane stanowisko, przeznaczenie szytego stroju (do pracy w biurze, do chodzenia w wolnym czasie), pytają, na jaką porę roku oraz porę dnia ma być on przeznaczony. Biorą też pod uwagę charakterystyczne cechy urody klienta a także, co ważne, mankamenty sylwetki, po to, aby przyszły garnitur mógł je skorygować. Jeśli weźmiemy jeszcze pod uwagę najbarwniejszy i wykwintny element stroju męskiego, jakim jest krawat oraz współgrającą z całością koszulę (nie mówiąc już o dodatkach jak spinki, zegarek, pasek do spodni) to okaże się że skomponowanie całości jest nie lada wyzwaniem. Z całą pewnością uczynienie tego ze znanstwem i starannością da w efekcie małe dzieło sztuki w postaci eleganckiego i uwzględniającego typowość i niepowtarzalność właściciela stroju, którego kontrrewolucyjny charakter jawi się wtedy jako zupełnie oczywisty.

Filip Obara

Kowbojki czy oficerki?

Eleganckiego mężczyznę podobno poznaje się butach. Ów prestiżowy aspekt tej najbardziej „przyziemnej” części garderoby można by zaliczyć do dziedziny, jak mawiał marszałek Piłsudski, imponderabiliów, czyli rzeczy pozornie nieznaczących – wywierających jednak zasadniczy wpływ na bieg wydarzeń. Dowodzą tego różne historie, które znamy zarówno z własnego życia, jak i z biografii znanych i lubianych postaci.

Rok 1972. Znany menadżer muzyczny Herb Cohen wchodzi do jednego z klubów w Los Angeles i spotyka młodzieńca, na którego trudno było nie zwrócić uwagi. Ekstrawagancki blondyn o kręconych włosach, młody, ale jakoś niepasujący do kolorowej epoki beatników. Cohen podszedł do niego, ponieważ zwrócił uwagę na jego niezwykle buty. W taki sposób zaczęła się muzyczna kariera Toma Waitsa, jedyne w swoim rodzaju genialnego amerykańskiego zapiewajły, w butach, jak można się domyślać, marki Stacy Adams Shoe Company.

Eleganckiego mężczyznę poznaje się podobno po butach. Ale buty to nie tylko elegancja. Weźmy za przykład słynne kowbojki rodem z Dzikiego Zachodu. Ich kolekcję posiada między innymi były gubernator Kalifornii Arnold Schwarzenegger, znany wśród swoich jako Gubernator-Terminator. Przemieszczając się nieco na wschód, do sąsiedniej Arizony, odnajdziemy przykład znacznie bliższy naszym polskim wyobrażeniom. Tam bowiem prowadzi swoje ranczo „Naczelny Kowboj Rzeczypospolitej”, Wojciech Cejrowski.

Buty, jako istotny motyw, pojawiają się co najmniej dwa razy w biografii WC. Okazuje się, iż podróżnik nie zawsze chodzi boso. W warszawskiej szkole aktorskiej nie nauczył się wiele, ale wyniósł stamtąd jedną ważną zasadę... Już za czasów studenckich w lecie chodził boso, zimą w drewniakach, pewnego razu jednak na zajęciach z recytacji pani profesor kazała młodemu Wojciechowi założyć skórzane buty na porządnym obcasie, ponieważ „rolę buduje się na butach”. Zadziałało. Recytowany tekst wypadł znacznie lepiej.

„I teraz – czytamy w biografii – kiedy WC idzie na negocjacje handlowe albo skopać komuś tyłek w ostrym programie telewizyjnym, to obowiązku zakłada kowbojki”. To właśnie jeden z innych, poza elegancją, ważnych aspektów dobrze dobranego obuwia.

Przenieśmy się do naszego ojczyzno-ego kraju. Jakie buty moglibyśmy zaproponować tym, którzy nie posiadają włości w żadnym ze stanów Północnej Ameryki, a szukają stylistyki jednocześnie oryginalnej i męskiej? Odpowiedzi nie trzeba długo szukać i nie musimy w tym celu zapuszczać się na stepy Texasu. Amerykanie mają swoją dumę w osobach twardych mężczyzn potrafiących z bronią w rękę bronić swych rodzin, mienia i wartości, czy jednak na rodzimym gruncie nie znajdziemy podobnych wzorców?

Wystarczy, że cofniemy się trochę w czasie, do wolnej Polski, chociażby na ulice Warszawy czy innego miasta doby I Rzeczypospolitej. Stuk oficerskich obcasów i szcęk podków – oto dźwięk, który sygnalizuje zbliżanie się dżentelmena, obrońcy granic i piękniejszej części narodu. Dźwięk, który budził szacunek i podziw. Na ile przebrzmiały już te tony historycznych trendów, a na ile należałoby je może odświeżyć, może – na fali odradzającej się dumy z narodowego dziedzictwa – warto by było i w tej kwestii pomyśleć o powrocie do źródeł i znów wprowadzić stuk męskich oficerów do przestrzeni publicznej?

Na razie oficerki widzimy głównie na ekranach telewizorów, ewentualnie podczas rekonstrukcji historycznych z okazji narodowych rocznic. Przyjrzyjmy się jednak uważniej temu elementowi męskiej garderoby. O ile godniej i dostojniej – właśnie dzięki profilowanym wysokim wojskowym butom – prezentują się sylwetki bohaterów *Czasu Honoru* i innych historycznych realizacji. Nawet w życiu byłyby one, jak niegdyś, nie tylko urozmaicheniem, ale i podniesieniem kultury materialnej dzięki czytelnemu nawiązaniu do militarne- go dziedzictwa i męskiego oblicza naszej narodowej dumy.

Wracając do perypetii rodu Cejrowskich, warto wspomnieć pewną anegdotę. Otóż gdy dziadek WC, Antoni Cejrowski, jako najmłodszy z braci opuszczał dom, ojciec powiedział mu, że rozdzielił już majątek i pozostały mu do oddania tylko dwie rzeczy: porządna marynarka i porządne buty. Dziadek Antoni miał wybrać jedną z nich. Potrzebował całej nocy na zastanowienie, by w końcu wybrać buty. Zapytany dlaczego, odpowiedział słowami, które śmiało można cytować jako maksymę: „Bosy facet w marynarce wygląda, jakby ją komuś ukradł, a goły facet w porządnym butach wygląda jak okradziony i każdy mu pomoże”.

Myszę, że goły facet w oficerkach tym bardziej znalazłby pomoc – przynajmniej w tej części narodu, z której rekrutowali się dawniej obrońcy Polski i dzielne niewiasty, bez wsparcia których niejedno wspaniałe dzieło wojenne – i nie tylko – nigdy nie byłoby możliwe.

Bogusław Bajor

Święci, piwo i umiar

W wiekach średnich produkcją piwa zainteresowali się mnisi, co było jedną z przyczyn gwałtownego wzrostu popularności tego napoju. Dziś przejdziemy już do chrześcijańskiego dziedzictwa piwowarstwa. Proponuję bowiem przyjrzenie się jego związkom ze... świętymi. Aspekt to dość mało znany i rzadko rozważany, ale – jak się okazuje – bardzo istotny. Niewielu bowiem produktom stworzonym przez człowieka patronuje tylu świętych, ile opiekuje się piwem, piwowarami, fanami piwa, a nawet tymi, którym zdarzyło się nadużyć jęczmienno-chmielowego napitku.

ARNULFÓW DWÓCH

Głównymi patronami sztuki piwowarskiej są dwaj święci o tym samym imieniu – Arnulf (lub Arnold). W VII wieku żył św. Arnulf z Metz, zwany też Arnulfem Piwowarskim. Czczony jest głównie we Francji. Metz to miasto jego posługi biskupiej, a nie miejsce urodzenia, bo tym jest Lay-Saint Christophe w Lotaryngii. Arnulf, jak na młodego księcia przystało, poznawał tajniki prawa i polityki. Był zarządcą dwóch francuskich prowincji. Ożenił się z kobietą o znajomo brzmiącym imieniu Doda, miał trzech synów. Jako że to były czasy rozwoju religii katolickiej i wzrostu wiary, żona, gdy dzieci się usamodzielniały, wstąpiła do klasztoru, a Arnulf zaczął wieść pustelniczy żywot. Zasłynął z mądrości i bogoboju życia, tak że w 612 lub 613 roku został powołany na biskupa Metz. Funkcję tę sprawował przez 15 lat, skąd wrócił do swojej pustelni, gdzie zmarł 18 lipca 640 roku.

Nasz święty słynął z niezwykłej siły – potrafił podnieść zarówno beczki wypełnione piwem, jak i wóz drabiniasty. Z Arnulfem związane są przeróżne piwne podania i legendy. Według jednej z nich, zamieniał puste garnuszki po piwie na beczki pełne złocistego napoju. Według innej – strudzeni pielgrzymi zatrzymali się na odpoczynek w oberży przy drodze. Karczmarz mógł podać im jednak tylko jeden dzban piwa, tylko tyle bowiem mu zostało. Było to zdecydowanie za mało, by każdy z przybyłych

mógł choć skosztować trunku. Wtedy przybył do oberży św. Arnulf, który zmówił modlitwę i... puste dzbany napełniły się piwem.

Inne podanie z kolei mówi, że w dniu jego pogrzebu na niebie ukazali się aniołowie, którzy podczas składania ciała świętego do grobu, zaczęli zraszać twarze grabarzy piwem.

Drugi św. Arnulf, który także odbiera cześć jako patron piwowarów i piwoszy, żył w XI wieku. Był opatem w klasztorze Saint-Medard w Soissons, gdzie zaczął warzyć piwo. Zachęcał, by spożywać je zamiast wody, z uwagi na zdrowotne właściwości. Twierdził, że regularne spożywanie piwa sprzyja zdrowiu i chroni przed chorobami zakaźnymi. Patron piwowarów wspominał oczywiście przy tym o umiarze...

Z tym świętym związane jest podanie, które głosi, że w pobliżu opactwa, w którym mieszkał, istniał browar, który pewnego dnia został zniszczony. Z polecenia opata został wprawdzie szybko odbudowany i wznowił działalność, ale piwo, jakie tam warzono, było podłej jakości. Mieszkańcy miasta udali się więc do opata z prośbą o pomoc. Ten po krótkim namyśle stwierdził, że powodem złego smaku jest woda, którą pobierano z przepływającej w pobliżu rzeki. Św. Arnulf zanurzył w niej swój pastorał – symbol władzy opata – i rzeka została oczyszczona. Co ciekawe, po tym geście opata Arnulfa, zaraza cholery, która pustoszyła okolice, zaczęła ustępować. Uznano to za cud. Wdzięczność mieszkańców Soissons była ogromna. Do dziś w dzień 15 sierpnia modlą się do św. Arnulfa, aby warzone przez nich piwo było zawsze przedniego gatunku.

Dziś ten św. Arnulf czczony jest w całym świecie piwowarskim, a szczególnie w Belgii, gdzie jego pomniki i figurki można spotkać na terenie tamtejszych browarów, warzących jedne z najlepszych piw na naszym globie.

WYSCHNIĘTE ŹRÓDEŁKO W GRODZISKU

Podobną historię do tej z Soissons przeżyli mieszkańcy Grodziska Wielkopolskiego. W XVI wieku wyszło bowiem źródło, z którego czerpali wodę pitną, jak również służącą do produkcji piwa w miejscowym browarze. Pewnego dnia odwiedził ich miejscowość benedyktyn z lubińskiego klasztoru, Sługa Boży Bernard. Świątobliwy mnich zaczął się modlić, a następnie pobłogosławił wyschnięte źródło. Po chwili wytrysnęła z niego woda jeszcze lepsza i smaczniejsza niż przedtem. To oczywiście miało wpływ na smak piwa.

Ojciec Bernard niedługo po tym zmarł, ale wdzięczni grodziszczanie nie zapomnieli o nim i przez długi czas co roku w rocznicę jego śmierci zanosili beczkę piwa na jego grób. Potem trafiała ona do lubińskiego klasztoru jako podarunek dla mnichów. Grodziskie piwo cieszyło się znakomitą

opinią. Niestety w latach 90. ubiegłego wieku tamtejszy browar został zamknięty. Jest to zresztą temat na długą dyskusję o „rewolucji lat dziewięćdziesiątych”, polegającej na przejmowaniu rynku piwnego w Polsce przez wielkie browarnicze korporacje...

RADY ŚW. BENEDYKTA I ŚW. HILDEGARDY

Rozważając związki świętych z piwem i piwowarstwem, trudno nie wspomnieć patrona i ojca nowożytnej Europy, św. Benedykta. Sam wprawdzie nie patronuje piwnej sztuce, ale tworząc słynną regułę zakonną, uwzględnił w niej spożywanie piwa. Początkowo jednak chciał zabronić mnichom picia alkoholu w każdej postaci. W końcu jednak zrezygnował z zakazu i dopuścił picie trunków z trzech powodów: trudnych warunków klimatycznych, ciężkiej pracy (nie zapominajmy, że dewizą benedyktynów jest *Ora et Labora* – Módl się i Pracuj) oraz letnich upałów. Zakaz obowiązywał w czasie Wielkiego Postu. Patron benedyktynów pozwalał wypijać 10-18 uncji, czyli od „ćwiartki” do pół litra. Z czasem jednak benedyktyni w różnych klasztorach spożywali różne ilości trunku. Na przykład w opactwie w Cluny podawano zakonnikom piwo bez ograniczeń. Benedyktyni trewirscy podczas postu jedli jedynie kromkę chleba z solą, ale pili wodę lub piwo. Z kolei mnisi z benedyktyńskiego opactwa w St.Gallen mogli wypijać dziennie 5 miar piwa – czyli ok. 2 litrów. Pamiętajmy jednak że trunek ten zawierał ledwie 2 procent alkoholu.

Także św. Hildegarda, ksieni opactwa benedyktyńskiego w Bingen, jedna z najwybitniejszych kobiet wszech czasów pisała o „złocistym trunku”: „Piwo ma pozytywny wpływ na ludzkie ciało; sprawia, że cera jest zdrowa, przywraca utracone siły i leczy depresję, dlatego też szczególnie powinno się je zalecać jako lekarstwo chorym na duchu”. Warto wspomnieć, że pierwsze informacje, dotyczące wykorzystania chmielu przy produkcji piwa pochodzą z zapisków tej świętej. W 1167 roku radziła: „Jeśli ktoś zamierza przygotować piwo z owsa, powinien zmieszać je z chmielem”. Dwa i pół wieku później roślinę tę wykorzystano na terenie Francji, Holandii i Niderlandów.

IRLANDIA ŚWIĘTYMI I PIWEM BOGATA

W naszych rozważaniach nie możemy pominąć Irlandii, słynącej ze znakomitych stoutów Guinness czy Murphy's. A jeśli mówimy o Irlandii, to myślimy też o jej patronie – św. Patryku, obchodzącym swe święto patronalne 17 marca. Patryk stał się także jednym z symboli piwa w tym kraju. Często przytacza się tam opowieść o wizycie „apostoła Irlandii” w gospodzie, którą nawiedzał zły duch. Gdy nalano mu beznadziejnego piwa, nasz święty chciał stamtąd czmychnąć czym prędzej bez odprawie-

nia egzorcyzmów. Dopiero gdy karczmarz przyniósł mu dobre piwo, bez trudu rozprawił się z szatanem. W ikonografii św. Patryk często jest przedstawiany z pastorałem przypominającym łopatkę do mieszania siodu.

Inny święty związany z Irlandią, Kolumban Młodszy znany jest przede wszystkim z niezwykle ostrej reguły, jaką napisał dla swej irlandzkiej wspólnoty zakonnej. Zgodnie z nią za odprawianie Mszy Świętej bez obciętych paznokci lub z nieogolonym zarostem należała się kara chłosty. Tak samo, jeśli mnich zapomniał odpowiedzieć „amen”, fałszował przy śpiewaniu albo niechcący naciął stół nożem.

Święty ten był jednak także wielkim smakoszem piwa. Przekonał społeczność na wyspie Iona, by uprawiała jęczmień. Wedle żywotów Kolumbana, jeden z mnichów miał zapomnieć, że w piwnicy zostawił otwarty szpunt nad beczką, ponieważ w czasie nalewania piwa wezwał go opat (czyli Kolumban). Jednakże Opatrzność nie pozwoliła piwu się rozlać, tworząc nad kuflem gigantyczną koronę z piany i dzięki temu ratując mnicha przed surową karą za marnotrawstwo.

Znana jest także historia, że ten wieki smakosz piwa zniszczył wielką beczkę z piwem, którą mieszkańcy przygotowali dla jednego z pogańskich bożków. Cudowne rozmnożenie piwa to z kolei cud przypisywany temu niezwykle surowemu dla siebie i bliźnich świętemu.

Z Irlandią i piwem związana jest także mniszka i współpatronka Zielonej Wyspy, św. Brygida z Kildare, której przypisuje się cud zamiany wody w piwo. Według podań, święta chciała ugościć Jezusa Chrystusa tym, co najlepsze, czyli „jeziorem piwa”.

PRZEDĘ WSZYSTKIM UMIAR!

Istnieją też inni święci patronowie piwowarstwa. W Bawarii cześć tę odbiera św. Florian. Ten sam, który u nas jest patronem strażaków. Nie ma tu sprzeczności. O ile u nas patronuje tym, którzy gaszą pożar, to w Bawarii jest patronem innych „strażaków”, którzy skutecznie gaszą pożar pragnienia.

W innych częściach Niemiec patronami piwowarów są św. Bonifacy i św. Ludgarda. Anglicy piwosze czczą św. Jerzego, a Czesi – św. Wacława. Z kolei ci, którzy nadużyli napoju złocistego, mogą zwrócić się o pomoc do znanego z zamiłowania do piwa i słynącego z wielkiego miłosierdzia św. Marcina z Tours.

Święci patronowie „od piwa” wskazują nam, że sam ten napój może być zdrowy (o dobroczynnych właściwościach „chmielowego napoju” napiszemy innym razem), wspierać siły fizyczne i duchowe, może pomagać w komunikacji międzyludzkiej.

Przypominają nam też o chrześcijańskim umiarze. Jak pisała św. Hildegarda z Bingen: „Człowiek, który odżywia swe ciało z miarą, ma pogodne i towarzyskie usposobienie”.

Bez umiaru piwo z napoju „boskiego” zamieni się w trunek, w którym gnieźdzą się demony.

Spis treści

Wstęp /5/

JAK ZOSTAĆ WSPANIAŁĄ ŻONĄ I MATKĄ? /9/

KRYZYS KOBIECOŚCI /12/

JAK KOCHA, TO POCZEKA. DLACZEGO TAK PÓŹNO DECYDUJEMY SIĘ NA MACIERZYŃSTWO? /17/

LĘK PRZED MACIERZYŃSTWEM /20/

WENDY DARLING W ZWIERCIADLE STAROPOLSKICH CNÓT /27/

„DZIEWCZYNA IDEALNA” WEDŁUG PRASY KOBIECJ /32/

BARBIE – CHORE JEST W MODZIE /35/

LETNI BEZWSTYD /38/

DLACZEGO JESSICA REY NIE NOSI JUŻ BIKINI? /41/

„I W CO JA MAM SIĘ UBRAC?!” /44/

JEDZ I ŻYJ ZDROWO! MEDYCYNA ŚW. HILDEGARDY Z BINGEN /47/

SZYDEŁKOWANIE, SZYCIE, DRUTY... DLACZEGO BY NIE? /50/

JAK ŻYĆ W NIEMĘSKIM ŚWIECIE? /55/

KRYZYS OJCOSTWA /60/

ZAMIAST SEKSUALNIE UŚWIADAMIAĆ, BIJMY DZIECI... /64/

DO BASEBALLU I DO RÓŻAŃCA /66/

BIZNES: MOŻNA PO LUDZKU /71/

SPRAWA KORWIN-MIKKEGO A HONOR /75/

SAMOBRONA W TEORII, PRAKTYCE I MOŻNOŚCI /79/

PAPIEŻ UBIERA SIĘ U GAMMARELLEGO /84/

„STRÓJ BIEDOTY” CZY GARNITUR? /88/

W OBRONIE GARNITURU – STROJU WSPÓŁCZESNEGO DŻENTELMENA /92/

KOWBOJKI CZY OFICERKI? /95/

ŚWIĘCI, PIWO I UMIAR /97/